

Tygodnik Polski

23, rue Talibout
PARIS (IX)

CENA
PRIX 0,60 F

LA SEMAINE POLONAISE

3 WRZEŚNIA 1967
SEPTEMBRE
Nr 36 (516)

FP 2373





Fronton Pałacu w Wilanowie pod Warszawą, niegdyś siedziby króla Jana III Sobieskiego. Obecnie mieści się w nim jeden z oddziałów Muzeum Narodowego w Warszawie, w którym pełno dzieł sztuki polskiej i obcej. W pałacu tym zamieszka Prezydent Republiki Francuskiej Charles de Gaulle w czasie pobytu w Polsce

PRZED POWITANIEM DOSTOJNEGO GOŚCIA

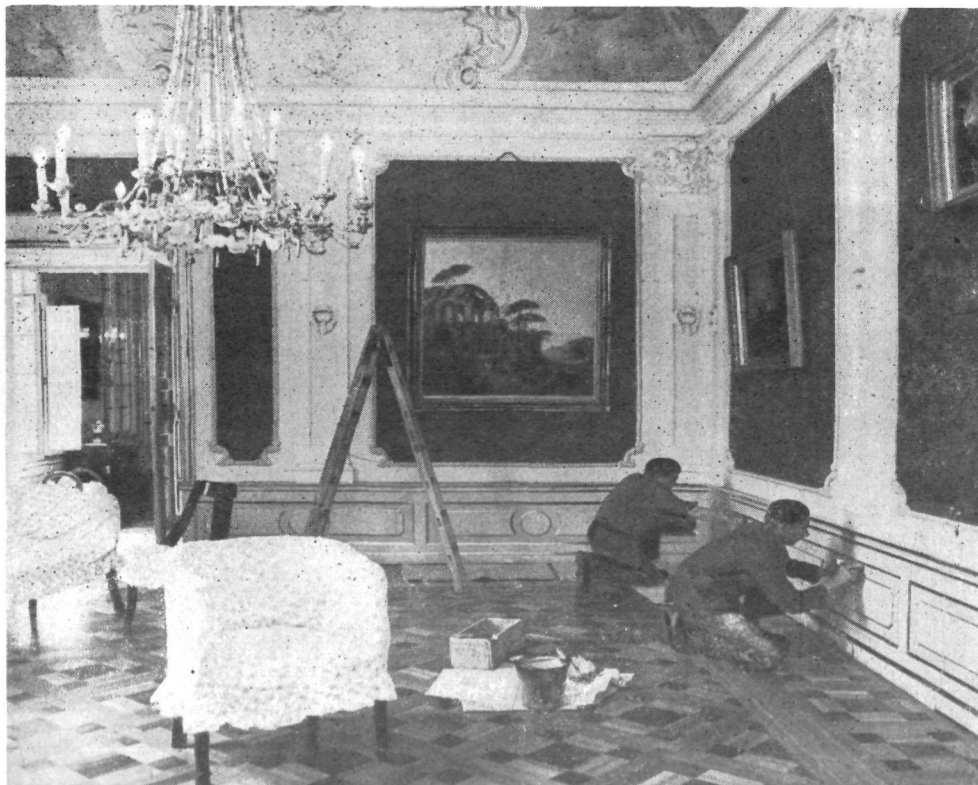
PAŁAC W WILANOWIE jest najpiękniejszym obiektem polskiej architektury barokowej w granicach wielkiej Warszawy. Nie ustępuje on innym tego typu zabytkom w Polsce, jak Nieborów, Łańcut i Natolin, a nawet wyraźnie je przewyższa subtelnością form, artystyczną finezją i wyposażeniem wnętrza. Położony w rozległym, niezwykle malowniczym parku, tworzy wraz z nim jedyną w swoim rodzaju całość, która przyciąga zwiedzających — turystów i miłośników sztuki.

Sam pałac ma układ prostokątnej podkowy i choć jego poszczególne części powstały w różnych okresach i różni mistrzowie byli ich autorami, całość odznacza się pełną harmonią. Najstarsza część sięga wieku XVII, powstała z inicjatywy i funduszy króla Jana III Sobieskiego, który — jako miłośnik piękna i przyrody — pragnął wypocząć poza królewskim zamkiem w Warszawie, znajdującym się wówczas w najruchliwszej części stolicy.

Sobieski zakupił wkrótce po wstąpieniu na tron od rodziny Leszczyńskich posiadłość Milanów, bo tak wtedy nazywano dzisiejszy Wilanów, i zlecił swemu sekretarzowi Augustynowi de Locci, zdolnemu poza tym inżynierowi-amatorowi, budowę siedziby, która by zadowolili nie tyle samego króla, ile przede wszystkim jego żonę, kapryśną Marysięnkę, Francuzkę Marię de la Grange d'Arquien. I chociaż pałac posiada wiele wspólnego ze współczesną architekturą francuską i włoską, jego kolejni współtwórcy wnieśli doń wiele cech rodzimej architektury polskiej.

Rezydencja wilanowska, stopniowo powiększana rozrosła się z latami, i to już za Jana III, do rozmiarów reprezentacyjnych. Nad środkową częścią

Salony Wilanowskiego Pałacu, po zapowiedzi przyjazdu Prezydenta do Polski, zostały na jakiś czas zamknięte dla publiczności, a fachowcy przystąpili do ich przystosowania na mieszkalne apartamenty, a dostojnego gościa



pałacu zbudowano drugie piętro, na którym znalazła pomieszczenie sala uczt i przyjęć. Ozdobiono je sprowadzonymi z Amsterdamu posągami muz, które ustawiono na szczycie efektownej nadbudowy. Nad środkowym oknem nadbudowy umieszczono półkolistą tarczę słoneczną z promieniami, ubiegającymi herby Sobieskich, podtrzymywane przez dwie pary... amorków.

Sobieski bardzo się przywiązał do Wilanowa, osobiście dbał o jego ogród, sadził w nim lipy i inne drzewa, z których niejedno do dzisiaj przetrwało. Układ ogrodu zaprojektował gdańszczanin w służbie króla, kapitan francuskiego pochodzenia Adolf Boye z wykształcenia inżynier.

Stosując zasady sztuki barokowej w ogrodzie dominowała symetria, której główna oś przebiegała przez środek pałacu. Część opadająca ku jezioru otrzymała charakter ogrodu włoskiego. Park uzupełniony został basenami fontann wyłożonymi czerwonym marmurem oraz mitologicznymi figurami.

Część gospodarcza — odgródzona została odpowiednio od części pałacowej, podobnie jak i ogród warzywno-owocowy. Wiodły do nich kamienne bramy ozdobione królewskimi herbami.

Po ostatniej wojnie Pałac Wilanowski oraz przynależne do niego obiekty zostały gruntownie odnowione, zbiory, z których większość została przez rezydujących tu okupantów zrabowana, zostały uzupełnione, całość zaś zamieniona na oddział Muzeum Narodowego w Warszawie.

W czasie wizyty Prezydenta Francji Pałac w Wilanowie zostanie oddany do jego wyłącznej dyspozycji.

C'EST une compatriote — Marie Casimire de la Grange d'Arquien, et un fidèle partisan de l'alliance française — Jean III Sobieski, qui accueillent le général de Gaulle, Président de la République Française, pendant son séjour à Varsovie.

En effet, le Président a pour résidence le joli palais de Wilanów que le couple royal fit construire près de sa capitale. Oeuvre de l'architecte A. Locci, des sculpteurs Schlütter et Szwaner, des peintres Callot, Palloni et Szymonowicz-Siemiginowski, Wilanów fut achevé en 1666, après 20 ans de travaux, de transformations et d'embellissements.

Sujet à bien des vicissitudes — changements de propriétaires, restaurations plus ou moins heureuses, dévastation et pillage par les Allemands durant l'occupation — le palais, ainsi que le parc et le jardin à la française qui l'entourent, furent rendus à leur premier état par des années de minutieux travaux commencés en 1954.

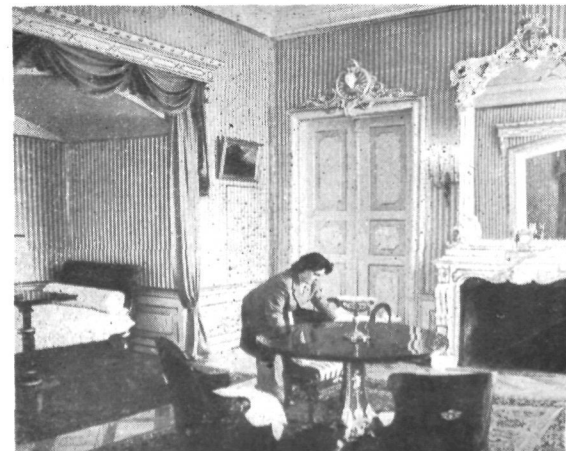
A l'intention du Président, on y a procédé à un branle-bas général: aménagement des appartements, préparation d'un cabinet de travail conforme aux habitudes de l'illustre hôte de la Pologne et... transformation d'un lit Empire qui était évidemment trop court.



Empirowe łóżko z 1840 r. znajdujące się w zbiorach pałacowych okazało się za małe. Trzeba je było powiększyć do wzrostu generała, co też uczyniono. Obecne wymiary łóżka wynoszą 2,20 na 1,57 m



Reprezentacyjne skrzydło, przeznaczone na mieszkanie Prezydenta, zostało gruntownie odświeżone, a kolekcja obrazów w głównym salonie pieczołowicie dobrana przez znawców sztuki. Wilanów nie będzie gorszy od pięknego Pałacu Elizejskiego



LIST Józefa Grzybka

PANIE REDAKTORZE!

Trzy miesiące temu napisałem „List” zatytułowany „Na podróż gen. de Gaulle’a do Polski”. W „Liście” tym starałem się dać wyraz tym wszystkim nastrojom i uczuciom, które na wieść o zapowiadającym na początek czerwca wyjeździe Prezydenta Republiki Francuskiej do naszego ojczystego Kraju zawładnęły moim starym emigranckim sercem i moim na poły polskim, a na poły już jednak francuskim umysłem. Pi-

dacy w Kraju — mimo iż doskonale rozumieli, że w związku z sytuacją międzynarodową gen. de Gaulle nie może opuszczać Pałacu Elizejskiego, i mimo iż w Polsce umysły były wówczas tak jak i u nas zaprzątnięte przede wszystkim izraelską napaścią na Egipt — bardzo się tą wiadomością przejęli i zasmucili. Przejęliśmy się i zasmuciliśmy się tym także i my tutaj na emigracji, ale oni tam w Kraju przeżyli to chyba jeszcze głębiej niż my.

Dlaczego? — Otóż mnie się wydaje, że dlatego, iż my tutaj we Francji skłonni jesteśmy widzieć w gen. de Gaulle’u najpierw i przede wszystkim „człowieka 18 czerwca”, człowieka, który w tragicznym dla Francji 1940 roku pierwszy wezwał naród francuski do walki z hitlerowskim okupantem. W Polsce natomiast sprawa przedstawia się inaczej. Pewnie, i oni tam w Polsce wiedzą o tym, że



Prezydent Francji, generał de Gaulle z małżonką

Bon voyage mon Général!

sząc tamten „List” widziałem oczyma wyobraźni i siebie także przy podróżującym po Polsce Prezydencie. Jak zapewne wszyscy prawie starsi emigranci, wsiałem w tamtych dniach do pojazdu zwanego marzeniem, w pojeździe tym siedziałem obok szefa państwa francuskiego, pojazd ten w mig przenosił nas z lotniska na Okęciu do moich rodzinnych stron, a ja przywoływałem w sukurs wszystkie najpiękniejsze polskie i francuskie słowa, jakie tylko znam, i z całą żarliwością, na jaką tylko mnie stać, starałem się zaprezentować Generalowi urodę — i tych moich stron rodzinnych, i „pięknej naszej Polski całej” w ogóle.

Niestety, na kilka dni przed ustalonym terminem odlotu Prezydenta do Polski, na Bliskim Wschodzie wybuchła wojna. Wojna ta spowodowała, że cały nasz świat został wprawiony w stan ostrego napięcia. Prezydent Francji musiał odłożyć swoją podróż do Polski i podobnie jak wszyscy inni szefowie państw, zając się „gardłową” dla światowego pokoju sprawą tej wojny. Prasa pisała wtedy, że nasi Ro-

gen. de Gaulle był w czasie wojny wskrzesicielem „Wolnej Francji”.

Ale podczas gdy dla nas ten epizod dziejów jest także niejako częścią naszego własnego życia, to dla nich tam w Kraju jest to już tylko moment historii, wydarzenie, o którym wie się z podręczników historii. Nasi Rodacy w Kraju w gen. de Gaulle’u widzą najpierw i przede wszystkim wielkiego, największego w tej chwili na Zachodzie męża stanu, i jedyne spośród zachodnich mężów stanu, który w sposób jasny i zdecydowany opowiedział się za nienaruszalnością polskich granic na Odrze i Nysie.

Zapewne — i my o tym wiemy, lecz — no, jakby to określić? — powiedzmy, że my o tym wiemy inaczej, nie tak, jak oni tam w Kraju. Przekonałem się o tym jeszcze raz niedawno temu, bo miałem okazję rozmawiać z przebywającymi na urlopie we Francji Rodakami z Kraju; oni tam w

Polsce wszyscy jak jeden mąż uważają, jeśli idzie o sprawy zasadnicze, za główny problem definitywne uznanie przez wszystkie mocarstwa tej granicy; ta granica to problem, o którym z równym przejęciem mówią zarówno naukowcy, jak i robotnicy. Oni ten problem czują w sposób bardziej dojmujący niż my. Dla nich sławetne zachodniemieckie „ziomkostwa”, na przykład, to nie „jakieś tam ziomkostwa”, jak to my czasem mówimy. Dla nich owe „ziomkostwa” to są rozsądniki idei neohitlerowskiego odwetu. Powie ktoś, że przecież my też o tym wiemy. Tak, ale my na to patrzymy z daleka, a oni są niejako „na miejscu”. Powinniśmy naprawdę starać się o tym pamiętać.

Stanowisko, jakie w tej sprawie zajął gen. de Gaulle, zyskało mu u Polaków w Kraju (a także i u Polaków we Francji i na całym świecie) ogromną wdzięczność i sympatię. Stąd to rozczarowanie i smutek w Polsce w czerwcu, stąd dziś radość z powodu odwiedzin Generala.

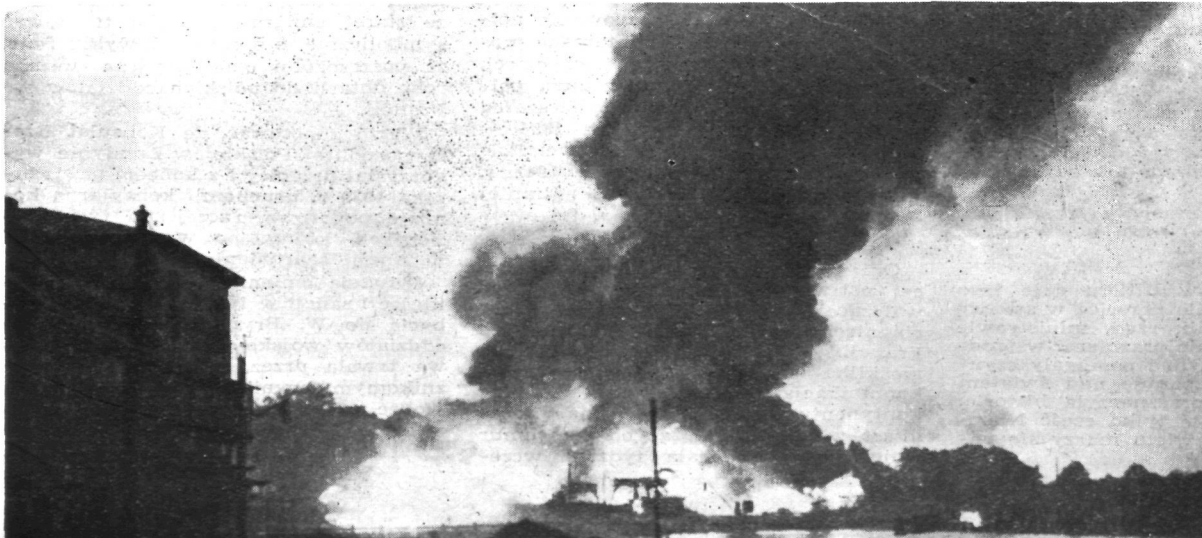
Słyszałem, że w trakcie swojego pobytu w Polsce gen. de Gaulle będzie mieszkał w pałacu w Wilanowie. Kusi mnie znowu „pojazd zwany marzeniem”. Jak bardzo chciałbym i ja tam być razem z Generatem! Wstuchiwać się z nim w to wszystko, o czym szumią nadwiślańskie drzewa! Pokazać mu Warszawę i powiedzieć: — To także jest nasza — to znaczy polsko-francuskich górników z Nordu — stolica, Panie Generale. Nasz naród umie pracować. A te wszystkie pomniki i inne pamiątki wojenne — tak, to ku chwale polskiego oręża. Tak, Panie Generale, jak to niedawno temu pisał jeden z polskich felietonistów: „Ten naród lubi bić się. Czy to coś złego? Czy to dziwne? Gdyby nie lubił, po prostu nie istniałby już dawno”. Ale podobnie jak i nasza Francja, nasi bracia w Polsce pragną pokoju...

Tak mówiłbym — tak byśmy wszyscy mówili. Będziemy wszyscy marzyć, że tak mówimy. A zanim zaczniemy o tym marzyć, powiemy w duchu: — Szczęśliwej podróży do naszej Polski, Panie Generale! Bon voyage, mon Général!

Józef Grzybek

W najbliższym numerze:
Statek „ISKRA”
wpływa
do portu w Hawrze

1.IX. godz. 5-ta. Kanał portowy w Gdańsku z widokiem na bombardowane przez Niemców Westerplatte



WRZESIEŃ

WRZESIEŃ jest miesiącem, który na zawsze pozostanie w pamięci Polaków. Pierwszego dnia tego miesiąca 1939 roku Hitler napadł na Polskę i tak rozpoczęła się druga wojna światowa, najstraszniejsza ze wszystkich, jakie zapisały dzieje ludzkości. Państwowość polska została wtedy rozbita, a armia poszła w rozsypkę; wojna zmieniła życie milionów ludzi, rozbiła setki tysięcy rodzin, najeźdźcy od pierwszej chwili przystąpili w niej do systematycznego niszczenia narodu polskiego. Polacy jednak nie poddali się; pokonany chwilowo żołnierz nie zrezygnował z dalszej walki, przeszedł do podziemia, do walki partyzanckiej lub przekradał się przez dziesiątki granic, by na ziemi sojuszników organizować się na nowo i walczyć dalej.

WRZESIEŃ

Dalszy ciąg ze str. 3

NAPAD NA POLSKĘ poprzedzony został przez Hitlera i jego III Rzeszę szeregiem bezkrwawych aneksji, przy czym nie bez znaczenia była dla niego bierna, innym razem nieudolna, a niejednokrotnie sprzyjająca postawa mocarstw zachodnich. Dużo pomogła Hitlerowi zagraniczna polityka przedwrześniowych rządów polskich, które kokietowały go przez szereg lat i nie tylko przyklasnęły zagarnięciu Austrii, ale pomogły w zlikwidowaniu państwa czechosłowackiego, co przyniosło fatalne następstwa: wydłużyło znacznie granicę Polski z Niemcami i wzmocniło militarnie niemieckie armie znakomitym wyposażeniem bojowym Czechosłowacji i jej przemysłem.

Bezpośredni napad na Polskę poprzedzony został szeregiem prowokacji na granicy polsko-niemieckiej, które miały upozorować rzekome prześladowania mniejszości niemieckiej w Polsce i polską chęć agresji na Rzeszę. M. in. niemieccy prowokatorzy podłożyli bombę pod willę Rudolfa Wiesnera w Bielsku — przywódcy Jungdeutsche Partei i wodza piątej kolumny hitlerowskiej w Polsce (kilka miesięcy temu aresztowano go w NRF za fałszowanie dokumentów), wysadzili lokal swego organu „Kattowitzer Zeitung” i dokonali podobnych aktów w innych przygranicznych miastach polskiego Śląska, Wielkopolski i Pomorza.

Szczytem tej całej akcji był napad niemieckich kryminalistów przebranych w mundury wojska polskiego na radiostację niemiecką w Gliwicach, gdzie jeden z prowokatorów po „zdobyciu” mikrofonu wygłosił kilka zdań po polsku, później zaś „zwycięsko” wkroczyła na teren radiostacji policja hitlerowska. Kryminaliści, którym obiecano wolność za dokonanie mistyfikacji, zostali zlikwidowani na miejscu, aby nie było niepotrzebnych świadków.

Prawda o prowokacjach doszła do wiadomości świata dopiero po zakończeniu wojny. We wrześniu 1939 jej wykazanie przez stronę polską było niemożliwe: prasa i radio zostały bowiem zlikwidowane, Kraj był w chaosie, a rząd na emigracji nie dysponował odpowiednimi dokumentami.

Wszystkim frontowym oddziałom armii niemieckiej, która od szeregu tygodni stała nad polską granicą, by na nią uderzyć, Hitler polecił odczytać ostatniego dnia sierpnia odezwę, w której m. in. oświadczył:

„Polska nie chcąc utrzymania dobrych stosunków, do których ja dążyłem, zamierza rozstrzygnąć spór z bronią w rękę. Niemcy w Polsce są prześladowani, szaleje tam krwawy terror i Niemców wypędza się z ich siedzib. Szereg naruszeń granicy, które nie mogą być tolerowane, wykazuje, że Polska nie ma zamiaru szanować granic Rzeszy. Dla skończenia z tymi obłąkańczymi wybrękami nie widzę innej drogi jak odparcie siły siłą. Wojska niemieckie podejmą walkę z mocnym postanowieniem obrony honoru i żywotnych praw narodu niemieckiego”.

Kiedy napastniczym wojskom odczytywano przytoczoną odezwę, Hitler wysunął pod adresem Polski żądania terytorialne, które były nie do przyjęcia. Nie zamierzał zresztą prowadzić żadnych pertraktacji w tej sprawie i z góry jej uniemożliwił, a następnie wydał rozkaz dokonania agresji bez wypowiedzania wojny.

O świcie 1 września uderzyły na Polskę armie hitlerowskie od zachodu, południa przez Słowację i od północy z Prus Wschodnich. Równocześnie samoloty z czarnymi krzyżami podjęły bombardowanie nie tylko lotnisk polskich, stacji, urzędów wojskowych i wojska, ale otwartych miast, pociągów osobowych z ludnością cywilną, a nawet wsi...

O godz. 12 w południe tego dnia wygłosił Hitler przemówienie w Reichstagu transmitowane przez wszystkie rozgłośnie i natychmiast tłumaczone na kilka głównych języków, w którym rościł się od kłamstw:

„Po 21 incydentach granicznych w ciągu poprzedniej nocy — wołał — mamy dziś znowu 14 nowych, w tym trzy bardzo poważne...” Wśród tych trzech poważnych był właśnie wspomniany wyżej sfingowany napad na radiostację w Gliwicach.

„Zdecydowałem się mówić z Polakami tym samym językiem, którego Polska używa wobec nas od miesięcy — kontynuował. — Zapewniłem uroczysto i powtarzam, że od państw zachodnich niczego nie żądamy i niczego nie będziemy żądać. Zapewniłem, że granica między Francją a Niemcami jest ostateczna (dwa lata wcześniej to samo mówił Hitler w odniesieniu do granicy polskiej — przyp. red.). Niemcy nie mają żadnych interesów na Zachodzie. Nasz wał zachodni jest tu na wieczne czasy granicą Rzeszy...”

Polska dziś w nocy dokonała napadu za pomocą regularnych wojsk na nasze terytorium i padły tam strzały. Od godz. 5.45 rano i my strzelamy. Od tej chwili zapłacimy bombą za bombę. Kto walczy za pomocą trucizny spotka się z gazem trującym. Kto sam narusza zasady humanitarnego prowadzenia wojny, musi oczekiwać od nas tego samego. Będę prowadził tę walkę, obojętne przeciw komu będzie się ona toczyła, dopóki nie zostanie zapewnione bezpieczeństwo Rzeszy i jej prawa...”

Tak kłamał Hitler publicznie wobec całego świata 1 września, a kilka dni wcześniej, 22 sierpnia na tajnej naradzie w Oberlitzberg załkomunikował poufnie swoim generałom, że postanowił napaść na Polskę:

„Było dla mnie rzeczą jasną — stwierdził przy tym — że konflikt z Polską musiał nastąpić wcześniej czy później. Zdecydowałem się nań już na wiosnę, ale myślałem, że najpierw zwrócę się przeciw Zachodowi, a dopiero potem przeciw Wschodowi. Kolejności niepodobna jednak ustalić z góry...”

Nawet gdyby wojna wybuchła na Zachodzie, zniszczenie Polski musi być zasadniczym celem... Dam już propagandzie powód do uzasadnienia wybuchu wojny, mniejsza o to, czy wiarygodny czy nie. Nikt nie będzie później pytał zwycięzcy o to czy mówił prawdę czy nie. Ważną rzeczą w wojnach jest nie prawo, lecz zwycięstwo...

Nie miejcie litości, bądźcie brutalni!... Nasza siła leży w szybkości i brutalności... Wysłałem na Wschód moje „Totenkopfstandarte” z rozkazem zabijania bez litości i pardonu wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci polskiej rasy i języka. Tylko w ten sposób zdobędziemy teren, którego tak bardzo potrzebujemy.

Mój pakt z Polską miał na celu jedynie zyskanie na czasie, a zresztą moi panowie... po śmierci Stalina (a jest on poważnie chory) rozbijemy również w puch Związek Radziecki!”

Przytoczone zestawienie wyjątków z rozkazów i mów Hitlera daje jego prawdziwe oblicze jako kłamcy i zwyczajnego oszusta. Ale przecież w sprawę wtajemniczeni byli liczni generałowie, cały sztab armii, rząd, ministrowie i liczni dygnitarze III Rzeszy. Hitler kłamał, oszukiwał, nie wybierał w środkach, dopuszczał wszelką zbrodnię, a wtórowały mu w tym i pomagały czynnie miliony Niemców w przekonaniu, że III Rzesza zapanuje nad światem i Niemcy staną się narodem panów, bo ich do tego przeznaczyła historia. Rzesza wojnę przegrała, gdyż nie mogło być inaczej, ale tylko część Niemców wyciągnęła z tej potwornej historii naukę. Bardzo wielu marzy się nadal militarną siłą, którą chcieliby dokonać odwetu.

la boutique polonaise

25, rue Drouot
PARIS IX-e

tél. 770-83-37
c.c.p. Paris 189-46-68

poleca niżej wymienione książki

po cenach najniższych:

Joseph Bédier	DZIEJE TRISTANA I IZOLDY		1,50
Giovanni Boccaccio	DEKAMERON	2 tomy	13,00
George Byron	DON JUAN		5,70
Cervantes	DON KICHOT	2 tomy	12,00
Carol de Coster	PRZYGODY DYLA SOWIZDRZAŁA		7,80
Denis Diderot	ZAKONNICA		3,00
Fiodor Dostojewski	MŁODZIK	2 tomy	7,55
Ilia Erenburg	UPADEK PARYŻA		4,20
Lion Feuchtwanger	LISY W WINNICY	2 tomy	13,50
Gustave Flaubert	PANI BOVARY		4,30
Gustave Flaubert	BOUVARD I PÉCUCHE		3,80
John Galsworthy	NOWOCZESNA KOMEDIA	3 tomy	15,00
Ernest Hemingway	KOMU BIJE DZWON		12,35
Homer	ODYSEJA		5,60
Guy de Maupassant	NOWELE WYBRANE		7,50
Jean Jacques Rousseau	EMIL	2 tomy	19,00
Stendhal	CZERWONE I CZARNE		6,00
Bernard Shaw	SZTUKI NIEPRZYJEMNE I PRZYJEMNE	2 tomy	5,15
Irwin Shaw	MŁODE LWY	2 tomy	12,00
Michał Szolochow	CICHY DON	4 tomy	23,10

Do cen wymienionych doliczamy koszty własne przesyłki pocztowej:

Pozwalamy sobie zawiadomić naszych Klientów, iż otrzymaliśmy płyty z nagraniami Jana Kiepury XL 0345 — Arie Operowe i XL 0346 — Pieśni i piosenki filmowe. Cena każdej płyty z przesyłką pocztową wynosi 23,00 F.

OCHOTNICY z ANGLII

We wrześniu 1939 r. nie było polskiego emigracyjnego ośrodka obojętnego na potrzeby walczącego Kraju. Polacy w Anglii stanowili małą kolonię, liczącą około 250 osób. Poza członkami ambasady i konsulatu oraz niewielką inteligencją, byli to przeważnie robotnicy i rzemieślnicy, trochę handlowców. Wywodzili się z emigrantów-wygnanceńców, których po upadku powstań 1831 i 1863 roku los zmusił do szukania znośnych warunków życia i pracy, kultywowania polskości i wolności. Na cmentarzach można znaleźć ich groby. Oni i ich dzieci, łącznie z przybywającymi z ziem polskich emisariuszami, założyli szereg organizacji, gazet, a w roku 1886 — do dziś istniejące Towarzystwo Polskie w Londynie. Jeszcze w 1942 r. żyło 26 członków, którzy co najmniej 25 lat należeli i pracowali w tej organizacji.

Oni byli motorem akcji propagującej potrzebę niesienia pomocy Polsce walczącej i niektórzy zgłosili chęć zaangażowania się do Armii Polskiej we Francji. Wyjechać nie mogli, bo już kilka dni przed wojną normalna komunikacja między Anglią a resztą kontynentu została przerwana. Natomiast wobec gromadzących się chmur wojennych wyjechała tydzień wcze-

śniej grupka młodych oficerów rezerwy, którzy przebywali w Anglii na studiach. Wyjechali do Polski, by na czas dostać się do swoich jednostek wojskowych.

Czy wszyscy dotarli, trudno dociec. W archiwach znalazłem wzmianki, że niektórzy zawrócili z Rumunii i Węgier do Francji i zgłosili się do Coëtquidan. Akcji werbunku ochotników w Anglii, na podobieństwo prowadzonej we Francji, nie było. Tych kilku ze starej emigracji trzeba traktować symbolicznie, ale nie jest wykluczone, że poszczególni ochotnicy na własną rękę dotarli do polskich oddziałów we Francji.

Warto zanotować, że Konsulat Rzeczypospolitej Polskiej w Londynie wykorzystał przepisy i z końcem października 1939 r. uruchomił konsularną komisję poborową, raczej dla tych niewielkich, którzy po wrześniu szukali w Anglii schronienia.

Sytuacja zmieniła się całkowicie po klęsce Francji w 1940 r., z chwilą przybycia do W. Brytanii części polskich oddziałów wojskowych. Akcja poborowa trwała przez cały czas wojny ze znikomym wynikiem (reklamacje, a wobec nadmiaru oficerów, każdy szeregowiec był rozchwytywany).

Eugeniusz TURSKI — Londyn



PRZEZ PIĘTNAŚCIE GRANIC

WSPOMNIENIA ŻOŁNIERSKIE

Autor wspomnień, **OLGIERD JABŁOŃSKI**, w chwili napadu hitlerowskich Niemiec na Polskę, był młodym chłopcem, świeżo upieczonym maturzystą. Po wakacjach, które spędzał na wsi podlaskiej u wujka, wybierał się na wyższe studia. Plany te pokrzyżowała wojna. W okupowanej Polsce Polacy nie mieli żadnych możliwości nauki w średnich i wyższych uczelniach. Tajne szkolnictwo powstało dopiero później. Wypadki wojenne we wrześniu wciągnęły Jabłońskiego w wir wojennych wydarzeń. Zmobilizował go jeden z oddziałów z wozem i końmi wujka jako woźnicę do wojskowej podwojdy. Z tym oddziałem przeżył tragedię wrześniowej rozsypanki armii polskiej i był świadkiem formowania się jednej z pierwszych grup partyzanckich. Był został jej członkiem, trzeba było mieć wierzchowego konia z odpowiednim wyposażeniem.

Po powrocie do domu na wsi, Jabłoński przez jakiś czas zajmował się handlem i szmuglowaniem towarów przez nowo utworzony kordon graniczny, po czym późną jesienią przeniósł się do Warszawy, a kiedy Niemcy podczas świąt Bożego Narodzenia dokonali pierwszej masowej egzekucji na niewinnej ludności cywilnej oraz zaczęli urządzać łapanki na przymusowe roboty do Rzeszy, postanowił przedostać się określną drogą do Francji i zaciągnąć do odradzającej się tam Armii Polskiej pod dowództwem gen. Sikorskiego.

Droga Jabłońskiego prowadziła przez Kraków, Szczawnicę, Słowację, gdzie był pierwszy raz aresztowany, ale szczęśliwie z niego wybrnął, po czym przez Węgry do Jugosławii, skąd we wsi Radek koło Fiume rybak-przemysłownik przerzucił go na włoski brzeg. Cała ta droga pełna była przygód, kłopotów, niespodzianek, a także pomocy obcych i bezimiennych przyjaciół.

Nie inaczej było we Włoszech, gdzie odwiedził Mediolan, Rzym, włoskie wreszenie, historyczne Colosseum, ambasady polskie przy Kwirynale i Watykanie, by wreszenie wyjechać do Włoch jako „kleryk”. Jego Świątobliwości papieża Piusa XII na dalsze „studia” do Metzu. Wszystko to było tematem poprzedniego odcinka wspomnień, w tym zaś, który drukujemy poniżej, zastajemy już autora w upragnionej Francji. Jest 5 marca 1940. Z Warszawy wyruszył 28 stycznia.

NA LINII MAGINOTA i POD DIEUZE

„CIUCHCIA” DO COETQUIDAN ● O PORUCZNIKU LISKU ● W DRUŻYNIE KAPRALA WANDRASZA I DYWIZJI GRANADIERÓW NA FRONCIE ● MAJOR WRONA ● ODWRÓT ● NA PORWANYM ROWERZE ● PIERWSZY ATAK NA BAGNETY ● DIEUZE ● MENTEK BOHATER, NO PASSARAN! ● WIECZNY ODPOCZYNEK RACZ MU DAĆ PANIE ● RANNY I W NIEWOLI

FRANCJA. Piękna, bohaterska Francja, moja druga Ojczyzna. Gdy tylko wyjechałem na dworzec w Modenie, szukałem tej Francji, którą znałem i kochałem, o której marzyłem. Ujrzawszy *tricolore* miałem łyzy w oczach. Wreszcie w kraju wolności, w kraju naszych potężnych sojuszników, z którymi pójdziemy wkrótce przez Niemcy, zdruzgotane, zniszczone Niemcy, do Kraju. Od dziecka byłem pojęny miłością do *la douce France*, jej historia była mi równie droga, jak nasza, jej bohaterowie byli moimi bohaterami narodowymi. Bayard i książę Poniatowski, Jeanne d'Arc i Emilia Plater, Kościuszko i Lafayette, no i przede wszystkim Napoleon.

Szukałem *poilus* spod Verdun, szukałem dzielnych żuawów, spahisów, bohaterów z Belfortu spod Ypres. To, co ujrzałem, to był szok tak straszliwy, że nie mogłem uwierzyć. To nie była ta Francja...

Punkt zborny Armii Polskiej we Francji. Cóż mogą tu dodać po tym, co napisał Pruszyński i Koźniewski? Czy jest sens powtarzać te same



Do Armii Polskiej formowanej po klęsce wrześniowej we Francji zdążyli Polacy z różnych stron. Oto pięciu braci Pułanów — ochotników, przybyłych do Coëtquidan aż z Brazylii. Poszli za przykładem swego ojca, który w 1917 r. również był ochotnikiem Armii Polskiej utworzonej we Francji z emigrantów

gorzkie uwagi o nędznym baraku, słomie leżącej od wielu miesięcy, wszach i pluskwach? Nie mogę o tym pisać, nie potrafię tak jak oni.

Paszport watykański zdałem w Modenie. Jestem znowu obywatelem polskim, ochotnikiem do wojska. Jedziemy do Bressuire. Koźniewski kwatrował w stajni, ja w hali targowej. Wszy gryzły nas te same.

Sprzedajemy ubrania cywilne, trzeba mieć przecięt parę franków na wino, gazety, mydło. Chodzimy do kafejki „Marian Bertrand” na kawę i ciastka z kremem, do bistro „Chez André” na szopinkę pinarda. Szopina to pół litra, pinard — to najtańsze wino algierskie po 3 F za litr. Zająć nie mamy żadnych.

Pod koniec marca dostałem przydział do pierwszej dywizji piechoty. Wyjechałem do Rennes a stąd „ciuchcia” do Coëtquidan. Był to wielki obóz i poligon jeszcze z czasów pierwszej wojny światowej. Setki baraków drewnianych i murowanych zamieszkiwali od jesieni 1939 żołnierze polscy. Wśród szeregowców przeważali poborowi z Francji, głównie z departamentów Nord i Pas-de-Calais. Podoficerowie i oficerowie z Polski. Pierwsza podchorążówka na obczyźnie dała kilkuset podchorążych. Przydzielono mnie do drugiego pułku w Plelan-le-Grand (w „Comblésac” Pruszyńskiego).



Coëtquidan. Zima 1939/1940. Podczas przerwy w ćwiczeniach na strzelnicy. Niebawem znalazł się tu wśród wielu innych autor żołnierskich wspomnień „Przez piętnaście granic”, szeregowiec O. Jabłoński

Dowódcą naszego pułku był płk Władysław Ziętkiewicz, naszym drugim batalionem dowodził mjr Franciszek Wrona z pruskiej szkoły. Sztymy, złośliwy, ordynarny, nie umiał, bo nie chciał, przyzwyczaić się do nowych warunków. Żołnierzy uważał za ciemną masę, za bezduszną automaty mające bezmyślnie wykonywać regulaminowe czynności. Nienawidził żywo i obojętnie żołnierzy — emigrantów i ochotników inteligentów.

Dowódca kompanii — kpt. Andrzej Sośnierz był zupełnie inny. Interesował się osobistymi kłopotami żołnierzy, chętnie z nami rozmawiał, nie jak dowódca, ale po prostu jak starszy kolega. Żołnierz mógł przyjść do niego dosłownie o każdej porze. Kapitan zawsze go wysłuchał, poradził, a o ile możliwe — pomógł.

Najciekawszy był dowódca naszego IV plutonu, ppor. Władysław Lisek, chłopski syn spod Częstochowy. Niezbyt zdolny, ale bardzo pracowity. Swym chłopskim uporem przebił się przez gimnazjum, skończył zawodową podchorążówkę i został oficerem. We wrześniu 1939 stracił prawą dłoń i dostał się do niewoli niemieckiej. Z nie wyleczonym kikutem uciekł ze szpitala w Radomiu i przedostał się na Węgry. Nie chciano go posłać do Francji, bo przecież był inwalidą. Nie ustąpił, wykorzystując wszelkie możliwe i nie-

możliwe środki dostał się do Francji. W koszarach Bessieres w Paryżu, gdzie był punkt zborny dla oficerów, nie chciano go przyjmować do wojska. Pojechał do Angers, do siedziby rządu i naczelnego wodza. Przez wiele dni dobijał się o audiencję u gen. Sikorskiego. Odmawiano mu stale. Nareszcie skorzystał z okazji, gdy Wódz Naczelny wychodził ze Sztabu Głównego. Przerwał się przez otaczających oficerów i zameldował się.

Uparty podporucznik został dowódcą IV plutonu 7 kompanii 2 pp. Pluton był zorganizowany na wzór francuski, liczył 3 drużyny po 12 żołnierzy i poczet dowódcy plutonu.

Moją drużyną dowodził kpr. Wandrasz, Ślązak z Cieszyna. W drużynie było nas tylko trzech z Polski, pozostali pochodzili z Nordu. Zaprzyjaźniłem się z Arturem Pohodziem z Lublina.

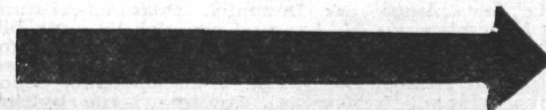
Artur skończył przed wojną Politechnikę Warszawską i w 1938 r. wyjechał do Afganistanu, by tam budować drogi. Z chwilą wybuchu wojny rzucił świętą pracę i wrócił do Europy. Do Polski już nie zdążył, stawił się więc do Francji i zaciągnął do wojska. Nie wiem dlaczego nie poszedł do podchorążówki. Odstawialiśmy więc razem nasz rekrucki los.

Całe szkolenie trwało do połowy kwietnia. Biegaliśmy ze starymi Lebelami po bretońskich wrzosowiskach, ćwiczyliśmy musztrę, „trójkat błędów”, natarcie drużyny i plutonu, kopaliśmy w kamienistym gruncie rowy strzeleckie i doty przeciwczołgowe.

Pewnego dnia w lasku koło Plelan wykopaliśmy pułapkę przeciwczołgową. Dół głębokości trzy metry, długi na sześć, szeroki na cztery metry. Przykryliśmy to lekkim rusztowaniem z żerdzi, położyliśmy faszynę i przysypaliśmy piaskiem i darnią. Żaden czołg niemiecki tam nie wpadł, ale ofiara naszej nadgorliwości się znalazła. Stary Bretończyk jechał do lasu po chrust i wpakował się w nasz wileczy dół. Bogu dzięki ani on, ani koń nie doznali uszczerbku, wóz jednak rozleciał się w drobny maczek. Wynikiem z tego interwencja mera u dowódcy pułku z wielką awanturą nie z tej ziemi...



Pułkownik Władysław Ziętkiewicz — dowódca Pułku Grenadierów Wielkopolskich im. Bolesława Chrobrego. W pułku tym służył Olgierd Jabłoński. Płk Ziętkiewicz poległ na ziemi francuskiej. Był on w międzywojennej Polsce dobrze znany jako jeden z pionierów narciarstwa i turystyki





Grudzień 1939. Coëtquidan. Na okolicznych polach żołnierze polscy zaprawiają się do dalszej walki, a ze wszystkich stron świata, nieraz okrężnymi drogami zdążają do nich towarzysze broni

NA LINII MAGINOTA I POD DIEUZE

Po kilku tygodniach „lipy”, zwanej szkoleniem, załadowano nas w wagony 8 *chevaux* — 40 *hommes* i ruszyliśmy na wschód. Po trzech dniach podróży wyładowano nas koło Nancy. Tam szkolono nas nadal. Odbiliśmy nawet ostre strzelanie, pierwsze i jedyne przed wyjściem na front. Na pewno przedwojenne przysposobienie wojskowe było lepiej wyszkolone niż to nasze wojsko. Umundurowania pełnego nie mieliśmy. Dano nam spodnie-pumpy i owijacze, które miały tę cholerną właściwość, że się zawsze rozwijały, swetry khaki, furazerki z wyhaftowanym orzelkiem, płaszczki i wielkie płaskie ładownice z szelkami. Bluz nie mieliśmy, dostaliśmy za to pasy flanelowe do owijania brzucha. Cholera wzięła, po co to było. Długa na 4 metry taśma z flaneli, szeroka 50 cm służyć miała do owijania się w pasie i miała zabezpieczać przed przeziębieniem. Faktycznie służyła za onuce.

Uzbrojenie też mieliśmy „wyborne”. Stare Lebeli trzystrzałowe lub pięciostrzałowe Berthierzy, które pamiętam z Polski z PW. Mieliśmy też tak zwane granatniki, długie i ciężkie rury żelazne, nakładane na lufę karabinu. Miało to służyć do miotania granatów. W jaki sposób, nie wiem, gdyż granatów do tego celu przystosowanych nie mieliśmy. Jedyną bronią na poziomie były ręczne karabiny maszynowe, nowoczesne, 25-strzałowe, niezawodne, nigdy nie zacinające się, lekkie. Cóż z tego, gdy zamiast po trzy na pluton mieliśmy po jednym. Świetne było wyżywienie: biały chleb, masło, czekolada, wspaniałe paszety, sery, jakie nie mają sobie równych, no i wino. Wino fasowaliśmy po pół litra na głowę dziennie.

3 maja na polanie pod Crévic koło Luneville przybył do nas Naczelny Wódz gen. Władysław Sikorski. Odbiła się msza polowa, defilada przed władzami polskimi i alianckimi. Dostaliśmy oficjalną nazwę „1 Dywizji Grenadierów”. Pułk nasz został „Pułkiem Grenadierów Wielkopolskich im. Bolesława Chrobrego”.

Składaliśmy przysięgę. Była noc. Dywizja stała w czworoboku. Padały słowa przysięgi. Przysięgi tej żołnierz Dywizji Grenadierów dotrzymał na polach Lotaryngii, pod Dieuze i Legarde, pod St. Dié i Baccarat. Dotrzymał bez reszty. Tegoż dnia pierwsze awanse. Dostałem pierwszą belkę. Byłem dumny jak paw. Starszy grenadier z cenzusem — ten tytuł wydawał mi się równy co najmniej marszałkowi.

Następnego dnia bractwo popijało co niemiarą. Cały batalion zalał się w sztok. Major Wrona, jedyny chyba trzeźwy w tym towarzystwie, wszedł do którejś kafejki i dostał... stołkiem w głowę. Wściekły wpadł do sztabu — złapał trębaczka i kazał mu trąbić na alarm.

Pijane bractwo ściągnięto na plac zbiórki. Co trzeźwiejszy przytrzymywali bardziej zalanego. Ja urżnąłem się szampanem. Diabelski trunk. Pije się jak wodę, głowa jest trzeźwa, ale nogi bezwładne.

Dowlokłem się jakoś na kwatery i położyłem się na naszym strzyku. Zbiórka! Wstać, wstać, wstać, chce wstać, ale nie mogę, naprawdę nie mogę...

Drużynowy podnosi mnie. Oparłem się o ścianę i znowu rym... na ziemię. Wandrasz złapał wiadro wody, chlusał mi na łeb, nic nie pomaga. Drugie, trzecie... Zmoczony jak kura zwlokłem się wreszcie na plac. Karabin przewiesiłem przez szyję i pół stoję, pół wiszę na sąsiedzie. Zjawił się major Wrona:

— Alarm nie jest ćwiczebny — oświadczył. Niemcy przerwali front. Wyruszamy na stanowiska bojowe! Odmarsz natychmiast!

Ta wiadomość otrzeźwiła nas trochę, a potem marsz przez całą noc dookoła Crévic dopomógł zupełnie. Nazajutrz okazało się, że nikt żadnego frontu nie przełamował, tylko major zemdlił się za ten stołek w kafejce.

Przyszły dalsze dni szkolenia. Coraz to bardziej intensywnie „dostaliśmy w kość”, coraz to więcej ganiano nas po polach i łąkach.

Nadszedł 10 maja. Niemcy zaatakowali Holandię, Belgię i Francję. Każdy dzień przynosił im nowe zwycięstwa. Padały coraz to nowe miasta. Belgia skapitulowała. Król Leopold, syn bohaterkiego Alberta I, zaprzestał walki. Prasa aliancka okrzykała go zdrajcą.

Dywizja nasza stała wciąż w odwodzie IV Grupy Armii gen. Pretelota, w 20 korpusie gen. Huberta. W pierwszych dniach czerwca forsownym marszem nocnym w ciągu trzech dni przesunięto nas na linię Maginota w rejon Saaralbe, do zgrupowania fortecznej plk Dagnana. Pułk nasz stanął w Hazembourg. Na lewo od nas stał 151 pułk piechoty kolonialnej, na prawo 1 pułk grenadierów. Przed nami w pierwszej linii strzelcy senegalscy i pluton rozpoznawczy kpt. Jana Chodźko, ochotnika z armii francuskiej. Byliśmy i nie byliśmy

na linii Maginota, gdyż w naszym rejonie nie było żadnych fortyfikacji.

Przez kilka dni kopaliśmy rowy strzeleckie, robiliśmy prowizoryczne bunkry z płyt chodnikowych. Ustawialiśmy stanowiska rkmów, przygotowaliśmy się do nocnego strzelania i nadal ćwiczyliśmy, ćwiczyliśmy. Dostaliśmy przydział amunicji — po 90 naboju karabinowych na żołnierza, po 15 magazynków na rkm i po 3 granaty ręczne na... pluton. Tym mieliśmy powstrzymać atak niemieckich czołgów i samolotów.

Rankiem 14 czerwca Niemcy ruszyli na naszym odcinku. Sto kilkadziesiąt Stukasów rąbało przez kilka godzin nasze pozycje. Wycie syren samolotowych, gwizd pocisków i wybuchy granatów mieszały się z trzaskiem płonących domów Hazembourg, kwikiem zabijanych koni i jękami rannych.



Codziennie rano kompanie polskie we francuskich mundurach i z francuskim uzbrojeniem maszerowały z koszar w Coëtquidan na okoliczne poligony. Rozbrzmiewały przy tym dawne i nowe żołnierskie pieśni

Około południa Senegalczyki zaczęli się wycofywać z przedpola, a wkrótce potem pokazały się pierwsze czołgi z czarnymi krzyżami. Trzymaliśmy się nieźle. Działka ppanc. por. Szczanieckiego zniszczyła kilka czołgów szwabskich. Atak piechoty niemieckiej wsparty ogniem artyleryjskim załamał się. O godz. 18 wyszliśmy do kontrataku. Przebiegliśmy około 3 km. Wpadamy do okopów, które jeszcze wczoraj zajmowali Niemcy.

— Bagnet na broń! Hurra! Leciałem z innymi. Miałem cholernego pietra. Co będzie, gdy będę musiał atakować bagnetem? Nie wiem, co czuli inni, ja się po prostu bałem. I to nie tyle Niemców, ile tego, że nie znam szermierki i por. Lisek mnie „ochrzanił”. Dzięki Bogu do zwarcia nie doszło.

Noc nadeszła, gdy osiągnęliśmy wioskę już po niemieckiej stronie granicy. W nocy wycofujemy się. Nad ranem jesteśmy w Insming. Sytuacja jak wczoraj. Francuski 151 pułk kolonialny wycofuje się razem z nami. Zajmujemy pozycje na grzbiecie wzgórza wzdłuż szosy. Porucznik Lisek wysłał mnie na punkt obserwacyjny na przedpola. Do godz. 14 względny spokój, jedynie lekkie ostrzał artyleryjski, kilka samolotów raczej obserwuje niż atakuje.

Wczesnym popołudniem zaczyna się normalne piekło. Szwabi koncentrują swoje ataki na 1 grenadierów i na 151 strzelców kolonialnych. Słyszymy ostrą kanonadę z lewej i prawej. Na nasz sektor natarcie wychodzi pod wieczór. Koło mego punktu padają pociski, coraz to bliżej. W pewnej chwili słyszę głos por. Liska:

— Olgierd, masz zapalnik? Miałem, ale nie miałem papierosów. Wskakuję więc z rowu i mimo silnego ognia z broni maszy-

nowej skacze do dowódcy. Silny wybuch. Podmucha rzuca mnie do rowu koło Liska. Otrząsnąłem się, jestem cały, tylko lekko oguszony. Podaję zapalnik, biorę papierosa, pierwszego od rana. Wyglądam na przedpole. Tam, gdzie było moje stanowisko, wielki lej od pocisku. Papieros uratował mi życie. Już nie wracam na punkt obserwacyjny, gdyż nadszedł rozkaz, aby o zmroku wycofać się na szosę, a następnie w kierunku Dieuze. Powiedziałem Liskowi, że od rana nic nie jadłem.

— Słuchaj, po drodze do Dieuze, na lewo od szosy jest klasztor, tam ci na pewno dadzą coś do zjedzenia. Idź zaraz, to jeszcze zdążysz za nami.

Wyczołgałem się do szosy, rowem poszedłem do bocznego dróżki, przede mną zabudowania. Wchodzę w bramę, pukam do furty. Długie milczenie, wreszcie gdy zacząłem walić kolbą w drzwi, otwiera mi staruszką w habitcie.

Jest przerażona, pyta czy jestem Niemcem:

— Non, ma soeur, Polonais, j'ai faim.

— Il n'y a rien.

Usiłuję być grzeczny, proszę tłumacząc, że jestem żołnierzem, że nic nie jadłem cały dzień, że muszę szybko dostać coś do zjedzenia, bo Niemcy są już blisko. Nie pomaga. Zakonnica bez przerwy powtarza swoje — Il n'y a rien.

Nazyna mnie brać cholera. Repetuję karabin i ostro żądam chleba, mięsa i wina. Siostrzyczki otwierają szafki, wynoszą posiłek. Jem szybko, resztę pakuję do chlebaka, chcę wyjść. Zakonnica zastępuje mi drogę:

— Cela fait cent cinquante francs, Monsieur!

Tego było mi za wiele. Odrącam zakonnice i wychodzę na podwórce klasztoru. Koło szosy stoi rower męski. Wsiadam, nie reagując na wrzask siostrzyczek, że to rower ogrodnika, że mam zapłacić za kolację i oddać rower. Dopadam do szosy, droga już pusta, nasi się widocznie wycofali. Niemców jeszcze nie ma. Ostro pedałuję do Dieuze. Doganiam naszych, schodzę z roweru, obładuję go chlebakami kolegów i przytrzymam rkm z magazynkami. Rower prowadzimy na zmianę.

Noce czerwcowe są krótkie. Świta gdy dochodzimy do Marimont, okopujemy się pod laskiem, na przedpola miasteczka. Wkrótce dołączają do

nas Francuzi z 151 p.p. kolonialnej. Obejmują stanowiska na lewo od nas. O sto metrów od naszego plutonu dowodzi ppor. *Jean Henard*, wysoki, ciemny brunet. W 16 lat później spotkałem go w Warszawie, gdzie był zastępcą attaché wojskowego przy Ambasadzie Francuskiej w Polsce. Wtedy, w czerwcu 1940 r. był on jednym z tych Francuzów, którzy nie mieli zamiaru kapitulować.

Pluton Henarda walczył już obok nas pod Hazembourg, pod Insming i znowu pod Marimont. Nie wycofali się ani razu przed nami. Jego żołnierze byli zdyscyplinowani. Bili się też nie gorzej od nas. Walki pod Marimont były silniejsze niż pod Insming. Dwa razy w ciągu jednego dnia wychodziło natarcie niemieckie. Czołgi wehrmachtu podchodziły prawie pod nasze stanowiska, ale działka por. Szczanieckiego powstrzymywały ich zapędy. Bogu dzięki lotnictwo nie brało udziału w akcji. Pod wieczór przeszliśmy do kontrataku. Ranny został kpt. Sońnier, ale lekko, więc po opatrunku nadal dowodził kompanią.

Mamy dużo szczęścia. Dotychczas nie mamy zabitych, rannych w całej kompanii tylko kilkunastu. Posuwamy się teraz wzdłuż szosy do Benestroff. Dochodzimy do skrzyżowania z linią kolejową, tuż przed wioską. Niemcy zajęli stanowiska wzdłuż toru.

— Bagnet na broń! Hurra!!!

Wpadamy na nasyp. Szwabi kropią z ciężkich karabinów maszynowych. Obok mnie wali się na ziemię Izdebski, starszy grenadier z 12 drużyny. Ranny został Lis i Piotrowicz. Zabity Bialek. Niemcy wycofują się.



Strzelec senegalski z dwoma oficerami polskimi, którzy po kampanii wrześniowej przedostali się do Francji, by dalej uczestniczyć w walkach z hitlerowcami



Podobnie jak w polskim wrześniu Polacy, tak w kilka miesięcy później, w czerwcu 1940 ludność Francji masowo uciekała przed błyskawicznie posuwającymi się wojskami tych samych okrutnych hitlerowskich najeźdźców

Widok rannych i zabitych kolegów, huk pocisków, płonąca wieś doprowadza nas do białej gorączki. Zapominam o strachu, o tym, że nie znam szermierki, lecę jak wariat. Dopadam któregoś z Niemców. Czuję jak bagnet zanurza się w żywym człowieku. Zabiłem, zabiłem po raz pierwszy. Nie czuję nic. Jestem nieprzytomny. Wyrzynam bagnet i lecę dalej. Wpadamy do wioski. Zatrzymujemy się...

Nadchodzi noc...

I znów rozkaz — wycofać się. Idziemy do Dieuze. Weszliśmy o świcie. Miasto wita nas tak jak w Polsce. Kwiaty, owoce, wino. Kobiety płaczą. Przechodzimy za miasto. Oddajemy je bez walki. Rozkładamy się za rzeczką w winnicy i na skraju lasu. Na prawo od nas szosa i most na rzeczce, na lewo wzdłuż rzeki 6 kompania. Kopimy stanowiska. W kamienisty grunt nie chcą wchodzić łopatkami saperskie, nawet kilofy nie bardzo pomagają. Koło południa nasze rowy strzeleckie są gotowe.

Mostek jest podobno podminowany przez saperów francuskich. Kręcą się oni tam i coś kują w nawierzchni. Szczaniecki ustawia swoje „szczekaczki” w krzakach przy szosie. Nastawia cel na most. Jesteśmy gotowi na przyjęcie „gości”. Wkrótce po południu nadchodzą. Przez most wycofują się ostatnie grupki plutonu rozpoznawczego kpt. Chodźko, opóźniające posuwających się naprzód Niemców. Koszary po drugiej stronie

rzeczki są już obsadzone przez Szwabów. Przez lornetkę widzę przemykające postacie w mundurach „feldgrau”. Por. Lisek wysyła na most plutonowego Kulę, aby sprawdził, czy miny są założone i w jaki sposób należy spowodować wybuch. Po chwili plutonowy wraca. „Panie poruczniku, tam nic nie zrobiono. Wyryli dziury w betonie i napakowali trotylu, ale żadnych zapalników nie ma. Takie zaminowanie do dupy”. Lisek zastanawia się, woła grenadiera Mentka. Jest to stary chłop, emigrant z Pas-de-Calais, Dąbrowszczak, walczył w Hiszpanii, był tam nawet podobno sierżantem. Pochodzi z tej samej wsi pod Częstochową, co Lisek.

— Franek, co z tym zrobić, wyście tam pod Terelem czy inną Guadalajarą robili nie takie cuda?

— Zrobi się, poruczniku, ino nie teraz, a jak faszyści przyjdą! No passaran!

Chwilę później ulicą na most wchodzi pierwsze trzy czołgi: zatrzymują się. Obserwuję przedpole. Szczaniecki pruje ze swych działek. Jeden czołg dostał. Pali się. Niemcy wyskakują, jeden widocznie ranny, gdyż siania się i pada. Kula kropi ze swego rkmu, czołgi odpowiadają z działek i ogniem maszynowym. Zaszczekały ckmny z koszar.

Nasze rkmny milczą. Siedzimy w naszych dziurach i czekamy na generalny atak...

Czołgi niemieckie wycofały się. Mija godzina, może półtorej. Dostajemy ogień z dział i moździerzy. Nic poważnego, Niemcy widocznie chcą sprokować nas i odkryć nasze stanowiska ogniowe. Milczymy, tylko każdy coraz to głębiej wgrzyza się w kamienistą ziemię winnicy. Napięcie nerwowe wzrasta. Porucznik Lisek z Mentkiem przesuwają się do rowu koło mostu. W tej chwili z Dieuze wyjeżdżają nowe czołgi, walą prosto na nas. Jeden jest już na moście. Lisek wyskakuje, chce rzucić granat w wyrżytą przez saperów jamę z trotylem. Granat pada na beton i odbija się, nie wybucha i stacza się do rzeki. Lisek chwytając drugi granat, a w tym momencie Mentek łapie go za rękę, wyrzuca granat i wyskakuje na szosę:

— Franek, wracaj, zabijaj cię!

— Powiedziałem, że ich zatrzymam, no passaran!

Wybiega na środek mostu. Czołgi kropią z ciężkich karabinów maszynowych, ale żadna kula nie trafia. Mentek rzuca się do miejsca, gdzie założony jest materiał wybuchowy, odbiepnia granat, wkłada go do otworu i... huk, łomot, piekielny grzmot.

Most wygina się, pękają żelazne belki, kawały betonu lecą w powietrze. Czołg, który był już na moście, stacza się do rzeki. Most przestał istnieć. Zwalisko gruzu poskręcanych belek i drutów tworzy nieforemny kopiec, grób grenadiera Franciszka Mentka, sierżanta brygady Dąbrowskiego. No passaran!

Rozpoczyna się piekło. Nasza artyleria i ckmny walą w miasto. Niemcy nie pozostają nam dłużni. Wymiana ogniowa trwa z godzinę. Wreszcie Niemcy przypuszczają szturm. Kilkunastu udaje się sforsować rzeczkę. Wychodzą wprost na nasz pluton. Rkmny Kuli i Wandrasza koszą ich jak żęcy pszenicę. Ani jeden nie wychodzi cało. U nas też duże straty. Gina: Kula, Bielecki i Nowak; są



Jeden z licznych mostów wysadzonych w czasie kampanii francuskiej. Poniżej St. Die, gdzie obok szpitala, w którym znaleźli się ranni w czasie bitew żołnierze, zgromadzono resztki artylerii i taboru



PRZEZ PIĘTNAŚCIE GRANIC

jeszcze czterej ranni. Wysadzone przez Mentka mosty utrudnia Niemcom przejście przez rzeczkę...

Powoli zapada późny czwercowy zmierzch.

Sciemnia się, gdy Lisek wysyła mnie do tytu po amunicję i wiadomości do batalionu. Wyczołgałem się przez winnicę, skokami przesadam odkrytą łączkę i dopadam lasu. Przy jednym z pierwszych drzew spotykam kaprala Józefa Wyszyńskiego ze Stawierzej, wioski położonej o kilka kilometrów od naszej Kierznowizny. Rozmawiamy przez chwilę i ruszamy dalej. Zaledwie odszedłem kilka kroków pocisk artyleryjski wali w tę szosę, przy której siedziałem z Józkiem. Wracam. Pod zwałonym drzewem leży trup. Twarzy nie mogę rozpoznać, bo przykrywa ją pień. Ale to na pewno Józek! „Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie”.

Okazało się później, że Józef wcale tam nie leżał, ale tak samo jak ja wrócił w chwilę później i też za mnie odmówił zdrowaśkę. Zginął ktoś trzeci, kto, nie wiem i nie dowiem się nigdy.

Gdy wróciłem z amunicją, pluton szykował się już do wycofania, taki zresztą rozkaz przyniosłem z kompanii. Zbieramy się możliwie najciszej, ściągamy do lasu i wzdłuż szosy wycofujemy się na kanał Marna-Ren.

Nad ranem wychodzimy z lasu, szosa prowadzi jakiś kilometr prosto, następnie rozwidla się. W widłach mały bunkierek prowizoryczny. Podchodzimy do skrzyżowania. Z lasu, skąd wyszliśmy, wyjeżdża motocykl niemiecki i kropi z rkmu...

Mjr Wrona wyznacza mnie, Iwańskiego i Gądka. Mamy ubezpieczyć wycofanie się resztek baonu do lasu przed nami. Las jest o niecały kilometr. Zostajemy w bunkrze z jednym rkmem i dwoma karabinami. Amunicji mamy sporo. Batalion rozsypuje się na pola wzdłuż szosy, częściowo polami, częściowo rowem wali do lasu. Ze strony Dieuze wyjeżdżają dwa motocykle, podpuszczamy je jak najbliżej, wreszcie seria, długa seria, cały magazynek. Jeden motor wali się na drzewo, drugi zapala się. Tylko jeden Niemiec z rowu zza przynny kamieni kropi do nas z pistoletu maszynowego. Może robić to długo, nasz bunkier jest dość silny na taką pułkanię...

Batalion wciąż się wycofuje. Chyba dojadą do lasu, a wtedy i my się wycofamy. Tymczasem musimy zostać tu jak najdłużej. Od Dieuze wychodzi tyraliera niemiecka. Oj, niedola, otacza nas. Walimy, ale chyba Panu Bogu w okno, bo Niemcy coraz bliżej, coraz ich więcej. Nagle widzę, jak przed bunkrem pada pocisk artyleryjski lub może z moździerza, potem drugi, trzeci... Coraz bliżej bunkra. Już chcę wycofać się do rowu, gdy wtem słyszę huk, robi mi się ciemno w oczach, coś mnie przygniata, brak tchu i... już więcej nie pamiętam...

Budzę się na białym łożku szpitala w Dieuze. Głowa mnie piekielnie boli, nie mogę ruszyć karkiem. Jestem ranny, a raczej kontuzjowany. Jestem w niemieckiej niewoli.



W następnym numerze:

UCIECZKA z NIEMIECKIEJ NIEWOLI

to dalszy ciąg wojennej odysei **Olgierda JABŁOŃSKIEGO**

pt. **PRZEZ 15 GRANIC**

Calonne-Ricouart leży w zagłębiu górniczym departamentu Pas-de-Calais. Calonne-Ricouart istniało już w średniowieczu, ale było wtedy tylko wioską. Pierwotnie stanowiło własność rodziny Gand, następnie władala nim rodzina Noyellesów, która z kolei odprzedała swe dobra innej szlacheckiej rodzinie, a mianowicie Hallewinom. Nieco później przeszło ono do rąk panów de Calonne.

Po tej feudalnej wiosce nie ma już żadnego śladu. Wiadomo tylko, że na terenie dzisiejszego nowego cmentarza wznosił się kiedyś zamek, i że w 1537 r. zamek i wioska zostały doszczętnie spalone.

Około roku 1900 kompania kopalniana z pobliskiego Marles-les-Mines jąla zakładać w Calonne kopalnię. Wioska Calonne zaczęła się rozrastać i stopniowo przekształcać w górnicze miasteczko. Wokół kopalnianej hałd wyrastały kolonie. W 1911 Calonne liczyło już 3.544 mieszkańców. Niebawem — po masowym napływie emigrantów polskich — liczba ta ogromnie, bo prawie w czwórnasób wzrosła: w 1926 r. Calonne osiągnęło 12.936 mieszkańców.

Dzisiejsze Calonne liczy około 10.500 mieszkańców. Mimo iż miejscowe kopalnie są już nieczynne, jest ono nadal miasteczkiem górniczym i górników, którzy bądź są już na emeryturze, bądź też nadal pracują — tyle że w kopalniach pozamiejscowych. Calonne jest nawet typowym miasteczkiem górniczym. Merem jest tutaj były górnik, p. André MANCEY; w „kafajkach” pije się „bières des Houillères”; wszystkimi prawie miejscowymi stowarzyszeniami kierują górnicy albo byli górnicy; stowarzyszenie wędkarzy z Cité Quénehem nosi charakterystyczną nazwę „La Truite Minière”... Calonne jest także typowym miasteczkiem francusko-polskim. Około 30 procent mieszkańców jest pochodzenia polskiego. Cité Quénehem zamieszkuje sami prawie Polacy i Francuzi pochodzenia polskiego. W radzie gminnej zasiadają m. in. Stanisław WABIŃSKI, Antoni WOJTASIŃSKI, Bruno SZYMAŃSKI i Edward KUKLA...

Reportaż ten robiliśmy w okresie wakacyjnej kanikuli. Wielu naszych Rodaków nie zastaliśmy w domu. W merostwie poinformowano nas, że wyjechał również i mer Calonne, p. André MANCEY (który jest także deputowanym do Zgromadzenia Narodowego i radcą generalnym). Zastępca mera — p. Aloïde DEGAUGUE i pracownik merostwa — p. Léon GAVREL poradzili nam, abyśmy udali się do p. Stanisława WABIŃSKIEGO.

CALONNE RICOUART

STANISŁAW WABIŃSKI jest zastępcą mera Calonne-Ricouart. Z zawodu jest p. Wabiński — tak jak i mer Mancey — górnikiem. Zaczął pracować w kopalni w wieku 14 lat. Dziś jest już emerytem: z uwagi bowiem na swoje zagrożone pylicą zdrowie przeszedł na emeryturę.

— Moi rodzice pochodzili z Poznańskiego, spod Pleszewa — opowiada p. Wabiński. — A ja urodziłem się już we Francji, tutaj właśnie, w Calonne-Ricouart. W Polsce byłem po raz pierwszy w zeszłym roku. Wrażenia? Byłem wzruszony, bo przecież chociaż urodziłem się we Francji i chociaż jestem obywatelem francuskim, to jednak wszystko co polskie jest mi bliskie i drogie. A propos tego mojego przywiązania do ojczyzny rodziców: o-

gromnie się cieszę, że niedawno temu założono u nas lokalny komitet stowarzyszenia „France-Pologne. Myślę, że ten komitet jeszcze bardziej scementuje, jeszcze bardziej scali naszą francusko-polską społeczność ku politycznej przyjaźni francusko-polskiej. W zarządzie tego naszego nowego powstałego komitetu „France-Pologne” zasiadają oczywiście i Francuzi, i Polacy; jest tam p. ROGER DESOUTTER, Francuz, profesor Liceum, jest p. HEUSSE, też Francuz, dyrektor szkoły, i jest Polak, prezes komitetu towarzystwa miejscowych, p. ZBIGNIEW SULEK.

Wracamy do spraw bardziej osobistych. Mówi p. Wabiński, że dumny jest ze swojej Odznaki Tysiąclecia i z polskiego Krzyża Partyzanckiego, którym w imie-

niu Rady Państwa PRL odznaczyl go niedawno temu konsul generalny Tadeusz Wegner.

— Krzyż Partyzancki otrzymałem za działalność w ruchu oporu — wyjaśnia. — U nas Polacy masowo uczestniczyli w „résistance”. Ja należałem do FTPF od 1943 r., bo dopiero wtedy tutaj wróciłem. Kiedy bowiem Niemcy zajęli Francję, uciekłem do „zone libre”. Miałem wtedy 17 lat. Wstąpiłem do Legii Cudzoziemskiej, w której w sumie spędziłem 5 lat — uczestniczyłem w zwycięskiej kampanii tunezyjskiej... W roku 1943 zostałem wzięty do niewoli. W maju tegoż roku zdołałem wrócić do Calonne, no i rzecz jasna zacząłem działać w ruchu oporu — to wszystko...

Naszej rozmowie przysłuchuje się syn p. Wabińskiego, Robert. Robert niezadługo skończy liceum: w nowym roku szkolnym będzie już uczniem „classe de philo”. Pociągają go nauki humanistyczne, ale wszystkie naraz, tak że sam nie wie jeszcze dokładnie, jaką chciałby sobie wybrać specjalizację, jaki zawód. Polski nie zna. Ale kiedy w radiu albo w telewizji pada jakieś nazwisko polskie, albo kiedy czyta o Polsce w prasie, to natychmiast żywo reaguje. Czuję wtedy — mówi — jak gdyby dreszcz. Wybierze się kiedyś na wakacje do Polski, rzecz jasna. A może na studia nawet.

— Możecie także napisać, że u nas coraz więcej ludzi wyjeżdża na wakacje do Polski — mówi nam jeszcze p. Wabiński. — I że wkrótce winien dojść do skutku „jumelage” między naszym Calonne-Ricouart a którymś z miasteczek górniczych na Górnym Śląsku. U nas przyjaźń francusko-polska stale się rozwija!



Stoją od lewej: syn p. Wabińskiego, Robert; p. Stanisław Wabiński, jego córka Evelyn z mężem p. André Platel i jego brat

POLSCY KUPCY, RZEMIEŚLNICY

Nie brak oczywiście w Calonne także polskich kupców i rzemieślników. Jest w Calonne polska piekarnia (p. Zimny), polski sklep rzeźniczy p. François Kostka, polskie sklepy „alimentation générale” (p. Henri Staniewski, p. Biniek-Adamski, pani Budzińska), polscy fryzjerzy (pp. Stanis Kuźniak i Albin Klamka). Radia i telewizory można kupić m. in. u pp. Krzemińskiego i Wozolka itd.

AKTYWNI SPOŁECZNIE

W Calonne-Ricouart Polacy i Francuzi pochodzenia polskiego działają nie tylko w stowarzyszeniach polonijnych, ale także i w organizacjach francuskich. Tytułem przykładu: prezesem miejscowej „Etoile Sportive” jest p. Wojtasiński, a sekretarz syndykatu CGT nazywa się Edward Kukla...

GWIAZDY FRANCUSKIEGO PIŁKARSTWA

W latach międzywojennych istniał w Calonne-Ricouart znany polski klub piłki nożnej — „Ocean”. W ogóle — wspominają tacy jak p. Paternoga kibice i byli piłkarze — Polacy w Calonne pochodzą przecież wiele gwiazd francuskiego piłkarstwa: Robert Budziński, Marian Wiśniewski, Marian Synakowski, Ziętek, Wabiński, który teraz gra w Oignies...



Rodzina państwa Paternogów: pan Jan z żoną i córką Haliną

U PANA PATERNOGI PREZESA BRACHTWA KURKOWEGO

JEDNYM z najaktywniejszych towarzystw polskich w Calonne-Ricouart jest Bractwo Kurkowe. Prezesem Bractwa Kurkowego jest p. Jan Paternoga, sekretarzem — Henryk Pietrzak, skarbnikiem — p. Franciszek Paternoga, a kapitanem — p. Bronisław Dudziak.

— Mamy w tej chwili 35 członków — mówi prezes Paternoga (który jest również zastępcą prezesa komitetu towarzystw miejscowych w Calonne-Ricouart i członkiem zarządu komitetu „France-Pologne”). — Przeważają u nas ludzie młodzi. Sądzę, że można powiedzieć, iż sytuacja jest u nas w tej chwili lepsza niż w latach powojennych. Nasza działalność ma charakter systematyczny. W każdą niedzielę przy „kafelce” p. Derkały, gdzie mamy swoją siedzibę, odbywa się strzelanie. W zasadzie co dwa miesiące urządzamy zebranie. Co roku w czerwcu urządzamy bal i bankiet. Bal organizujemy po to, żeby coś zarobić, no, bo co roku na same naboje wydajemy jakieś 50 tysięcy dawnych franków, z samych składek kosztów tych byśmy nie pokryli. Poza tym bankiet urządzamy i dlatego, że od pewnego czasu staramy się nadać naszemu Bractwu charakter rodziny. Co to znaczy? — Parę lat temu zauważyłem, że ubywa nam członków. Okazało się, że za sprawą kobiet. Żony naszych członków były niezadowolone z niedzielnej samotności. No więc ja postanowiłem wciągnąć w te nasze męskie sprawy także niewiasty. Nie, nie urządzamy konkursów strzelania dla naszych żon. Ale kiedy jedziemy gdzieś strzelać, zabieramy je teraz ze sobą. Urządzamy wycieczki. Urządzamy bankiet. Kobiety są zadowolone, no i my także.

Pan Paternoga jest nie tylko prezesem Bractwa Kurkowego w Calonne-Ricouart, ale również kapitanem Związku Bractw Kurkowych we Francji — i jest on nie tylko działaczem, ale i zwołanym strzelcem także. Dwukrotnie już był królem Bractwa w Calonne, trzykrotnie marszałkiem, był już nawet marszałkiem związkowym... Strzelanie — to naprawdę jego konik. Lubi strzelać i lubi mówić o strzelaniu. Opowiada nam o najbardziej zasłużonych członkach Bractwa w Calonne (są

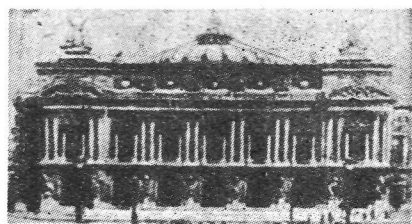
nimi pp. Antoni Teplik i pełniący funkcję chorążego — Jan Bocer), o nabojach i o kalibrze naboji, o czterech karabinach, jakie oni tutaj w Calonne posiadają, o tym, że rodzinę Paternogów reprezentuje w Bractwie Kurkowym nie on sam, ale i jego trzech bracia.

— Mąż tym tylko żyje — wtrąca w pewnej chwili bardzo sympatyczna pani Paternogowa. — Ciągłe tylko coś załatwia, coś urządza... A w dodatku należy jeszcze do organizacji byłych jeńców wojennych! Tyle jest u nas rozmaitych papierów, wycinków z gazet itd., że ostatnio kupiłam nawet mężowi szafę...

— Tak — mówi p. Paternoga — należą także do organizacji byłych jeńców wojennych i do organizacji byłych kombatanów. W czasie wojny byłem żołnierzem Brygady Podhalańskiej. Tak, byłem z Brygadą w Norwegii. Zostałem wzięty do niewoli. Zostałem pięć lat spędziłem w obozach jenieckich we Wrocławiu i w Zaganiu...

Oto i córka państwa Paternogów, Halina. Dwa lata temu była na wakacjach w Polsce, w Mielnie, po polsku mówi, naturalnie, bo w domu mówią tylko po polsku.

— My z żoną też chcemy wybrać się na wakacje do Polski — powiada p. Paternoga. — Może pojedziemy w przyszłym roku. Bo zawsze sobie obiecywaliśmy, że z chwilą kiedy zostanie przeniesiony na emeryturę, odwiedzimy wreszcie Polskę...



HOTEL OPERA - LAFAYETTE
CATEGORIE **A

RESTAURANT

Dyrekcja: Zenon LUBIŃSKI

80, rue Lafayette - PARIS 9^e

Métro: CADET lub POISSONNIERE

Téléfon: 770-43-43
824-41-50

(Face Square MONTHOLON)

Mówi się po francusku oraz po polsku, angielsku, niemiecku, hiszpańsku, rosyjsku i włosku

NIE ZAPOMINAJĄ O POLSCE

PAŃSTWO ZIĘTKOWIE wychowali dziesięcioro dzieci. Siedmioro ich dzieci — pięć córek i dwóch synów — założyło już własne rodziny, troje mieszka jeszcze w rodzicielskim domu. Wnucząt mają państwo Ziętkowie piętnaścioro.

— Wszyscy w naszej rodzinie mówią po polsku — mówi pan Ziętek. — Dbamy o to. Choć już tyle lat jest się na emigracji, to przecież nie zapomnieliśmy o Polsce — no bo czy w ogóle można o niej zapomnieć?!

Pan Ziętek ma poza sobą 30 lat pracy w kopalni. Jest już oczywiście na emeryturze. Nie nudzi się, o nie. Zajmuje się kolportażem „Tygodnika”, to jest raz. Pomoże czasem w pracy synowi Gerardowi, który jest skarbnikiem stowarzyszenia „Odra-Nysa” w sąsiednim Marles, to jest dwa. A trzy: ma przecież swój ogródek, kawałek pola, gołębie, króliki. Królików ma kilkadziesiąt. A te schludne króliczarnie przy domu sam sobie wymurował. Jest tu jakieś 20 tysięcy starych cegieł. Zbiera je to tu, to tam, znosił do domu, no i tak powoli — jak to mówią: ziarnko do ziarnka...

Pan Ziętek pochodzi z Ostrowa. W Polsce był pięć lat temu. Zwiedził wtedy dokumentnie m. in. Dolny i Górny Śląsk. Syn Gerard, ten z „Odry-Nysy”, jest górnikiem, pracuje w kopalni w Marles. A najmłodszy z synów ma 18 lat i uczy się w gimnazjum w Lillers. Tak my tutaj sobie, widzicie, żyjemy...



Rodzina pp. Ziętków: p. Józef z żoną Joanną (w głębi) ich syn — Gerard, a także najmłodsza córka i jeden z wnuczków

SĄ TU KARPIE, PŁOTKI I SZCZUPAKI

W „polskiej” Cité Quénehem znajduje się staw. Duży staw. W stawie jest dużo ryb. Są tam karpie, są plotki, są szczupaki. Naturalnie nad stawem ciągle siedzą wędkarze.

Jest ich w Calonne wcale sporo. Zrzeszeni są w „La Truite Minière”. Od czasu do czasu urządzają konkursy. Niedawno temu konkurs na największą ilość złowionych ryb wygrał p. Stanisław Sliwiński, a w konkursie na naj-

cięższe złowione ryby triumfował inny nasz Rodak — p. Zygmunt Kaczyński.

W trakcie naszej wędrowki po Calonne-Ricouart spotkaliśmy m. in. dwóch młodych wędkarzy pochodzenia polskiego, braci Jean i Michel Berusów. Jean ma lat 18, a Michel 16 i pół. Ale — tak twierdzą — ryby obaj łowią „jak starzy”. I podobnie jak polski pisarz Jerzy Putrament wyznają pogląd, że nie ma to, jak łowić rybki.



Wędkarze Jean-Pierre (z lewej) i Michel Berusowie z kolegą — Robertem Wabińskim



Staw w Cité-Quénehem, gdzie bracia Berusowie i inni wędkarze z Calonne lubią łowić



■ O rolnictwie francuskim w Lublinie

Staraniem Studium Języków Obcych i Katedry Mechanizacji Rolnictwa Wyższej Szkoły Rolniczej w Lublinie zorganizowana została w gmachu tej katedry wystawa poświęcona francuskiemu rolnictwu. W licznych gablotach znajdują się ciekawe wydawnictwa francuskie z zakresu rolnictwa. M. in. jest tu francusko-polski i polsko-francuski słownik rolniczy wydany pod redakcją mgr Heleny Wolskiej, za który otrzymała ona odznaczenie „Les Palmes Academiques”. Są tu także bogato ilustrowane wydawnictwa Larousse'a. Interesujący jest dział zatytułowany „Rolnictwo, areal, produkcja”. Inny z działów poświęcono hodowli zwierząt. Zwłaszcza pięknie prezentują się wspinające okazy koni. Sporo miejsca zajmują plansze i wykre-

■ Kieleckie tulipanowym milionerem

W gospodarstwach woj. kieleckiego zakończono wykopki tulipanów. Uzyskano ogółem ponad milion cebulek. Produkcjami ośrodkami hodowli tulipanów i innych kwiatów są gospodarstwa Lomno i Sieradowice. Cebulki tulipanów i nasiona kwiatów sprzedaje się także za granicę.

Tygodniowa GAWĘDA

Mieszczucha, pozostającego w ograniczonym kręgu swego środowiska, wciąż na nowo zdumiewa przy zetknięciu się z ludźmi ze środowiska, z którymi rzadko ma do czynienia, ogromnie poszerzona skala zainteresowań ludzi, o których tradycyjnie zwykło się mówić, że interesują ich tylko sprawy najbliższe, związane z ich życiem. Ze wstydem przyznaje się, że i ja taki ustrząs przeżyłem, korzystając z wakacji we wsi Kościelisko niedaleko Zakopanego. I to przy głupiej okazji:

Cholernie chciało mi się zagrać roberka. A tu, jak na złość, brak czwartego: jest jakiś dyrektor z Krakowa, adwokat z Warszawy, ja, a czwartego do brydza brak na lekarstwo. Siedzimy żli, dumamy. W pewnej chwili zachodzi do chaty w jakiejś sprawie sąsiad, góral, wprost z roboty, zarobkuje bowiem dodatkowo stolarką (ogromny dryg do stolarki mają górale, tu mebli nikt nie zamawia ani nie kupuje, samemu się je robi) i powiada:

— Coście tacy ponurzy? Mówimy mu. A ten się śmieje: — To dlatego? Ano pocekacie, tylko się trochę obmyję i ogarne, przyjdę na czwartego.

Przyszł, i wierzyć mi, grał nie gorzej od nas. Gdzie się nauczył, skąd to przecie „miejskie” zainteresowanie? — Ano, byli letnicy, grali, przypatrywał się, chwycił, no i gra...

Przykład, moi Drodzy, może nie najszcześniejszy, jako

sy dotyczące szkolnictwa rolniczego. Osobny dział poświęcono placówkom naukowo-badawczym z zakresu hodowli i mechanizacji rolnictwa. Nie zapomniano o zaprezentowaniu ogrodów warzywnych i sadów.

Wystawa cieszy się dużą frekwencją i w związku z małym tu odbył w Lublinie w pierwszych dniach września zjazdem mikrobiologów, została przedłużona.

■ Kawa pod spadochronem

Załoga Zakładów Skórzanych w Chełmku (pow. Chrzanów) otrzymała piękny ośrodek wypoczynkowy, położony na skraju lasu w rejonie zwanym Paprotnik, skąd wywodzi się również i nazwa nowego ośrodka. W „Paprotniku” zbudowano duży basen kąpielowy, przystosowany do zawodów pływackich. Jest tu także pawilon gastronomiczny z dużą estradą dla orkiestry, a dla dzieci brodzik i ogródek jordanowski. Ładnie prezentuje się kolorowa kolonia domków campingowych. Stoliki kawiarniane ustawiono na wolnym powietrzu pod olbrzymimi czaszami rozpiętych spadochronów. Gospodarzem tego nowego ośrodka, który od chwili otwarcia cieszy się dużym powodzeniem, jest Klub Sportowy Chełmek.

◆ Niespodziewany czwarty do brydza

◆ Ze wsi do miasta bliżej

◆ Kultura rzeczywiście masowa

że brydż, choć bardzo tę grę lubię, nie jest tym najbardziej reprezentatywnym dowodem poszerzenia zainteresowań intelektualnych i wzrostu masowej kultury. Ale jakieś zjawisko to jest, nie odosobnione, idące bowiem w parze ze wzrostem zainteresowań artystycznych, co dzieje się na świecie, polityką (już nikt nie głosi tak, jak w „Weselu” Wyspiańskiego: „Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zacisza, byle polska wieś spokojna”), sztuką, sportem, nauką i wiedzą.

Wielkie wydarzenia światowe są poważnie i ze znajomością rzeczy dyskutowane w wiejskich chatkach w Polsce z nie mniejszym zainteresowaniem niż w nowo zbudowanych wieżowcach Warszawy. Nie tylko zrozumiałe zainteresowanie towarzyszy np. audycjom radiowym, artykułom w gazetach czy książkom o tematyce rolniczej, ale szczególnie omawiane są i stosowane w praktyce wskazania, dotyczące wychowywania niemowląt i leczenia chorób u ludzi. W czasie niedawnych transmisji sportowych z międzynarodowych spotkań lekkoatletycznych czy piłkarskich miliony mieszkańców wsi podobnie jak w miastach entuzjastycznie się przy szklanym ekranie walczyli sportowców.

Zrozumiałe, nie przyszło to od razu. Odległość od miasta do wsi, jak to się mówiło, zabitej deskami, zmniejszała się nie tylko na skutek budowy szos, które zastąpiły nie-

■ Polscy alpinści powrócili z Alp i gór Atlasu

Do Kraju powróciła 86-osobowa grupa polskich alpinistów, która przez dwa tygodnie przebywała w Alpach francuskich. Była to najliczniejsza z dotychczas organizowanych wypraw do francuskich Alp. Uczestnicy wyprawy osiągnęli wiele

sukcesów. M. in. ponad 60 zdobyło szczyt Mont Blanc (4807 m). Wśród zdobywców tego najwyższego szczytu w Europie znalazł się również prezes Zarządu Głównego Klubu Wysokogórskiego, 67-letni Czesław Bajera. Do osiągnięcia najwyższej klasy

należy zaliczyć pierwsze przejście wschodniego filaru północno-wschodniej ściany Les Droites dokonane przez Macieja Kozłowskiego i Macieja Janusza Kurczawę.

Powróciła również bydgoska wyprawa alpinistyczna w góry Atlas. Uczestniczyli w niej: dr Eugeniusz Temlak (kierownik wyprawy), inż. Andrzej Kozłowski, mgr Janusz Szczepny, Janusz Kępiński, mgr Witold Rosenthal, dr Ryszard Długociński i Jerzy Jagodziński.

Podczas kilkutygodniowego pobytu w Atlasie polscy alpinści zdobyli 20 szczytów, a wśród nich najwyższy w tym masywie górskim — Dżebel Tubkal (4165 m n.p.m.) oraz 16 trudno dostępnych przełęczy. Wykonano szereg zadań nie osiągniętych przez poprzednią polską wyprawę, która miała miejsce w 1934 r.



■ Prezent na Tysiąclecie



■ Łózciczka dla Skandynawów

15 tysięcy dzieci z Finlandii, Norwegii i Szwecji otrzymują, co roku łózciczka „Made in Poland” produkowane w Głucholazach na Opolszczyźnie. „Głucholazy” eksportują do krajów skandynawskich 6 typów łózciczek dla dzieci w wieku od 1 do 10 lat.

W Bydgoszczy wzniesiono pierwszy w Kraju pomnik upamiętniający dorobek czynów społecznych mieszkańców Ziemi Bydgoskiej dla uczczenia Tysiąclecia Państwa Polskiego. Wartość pracy włożonej przez mieszkańców Bydgoskiego w okresie od 1958 do 1966 roku wyniosła 2 miliardy 207 milionów 427 tysięcy złotych. Oto 14-metrowy pomnik według projektu artysty-plastyka Lejkowskiego, wykonany w czynie społecznym.

■ Międzynarodowe spotkanie kobiet-prawników

W dniach od 20 do 26 sierpnia odbył w Warszawie III Kongres Międzynarodowej Federacji Kobiet Zawodów Prawniczych. Impreza była zorganizowana przez polską sekcję kobiet-prawników (przy współudziale Ligi Kobiet), której przewodniczący sędzia Sądu Najwyższego — Zofia Wasilkowska, pełniąca jednocześnie funkcję wiceprzewodniczącej międzynarodowej federacji.

Tematem warszawskiego spotkania była rodzina wspólna i jej prawna ochrona w różnych ustawodawstwach, m. in. w polskim, francuskim i belgijskim, włoskim, angielskim i węgierskim.

■ 35 milionów ludzi głuchych

„Głusi wśród słyszących” — oto hasło V Kongresu Światowej Federacji Głuchych, który obradował w stolicy Polski.

Wzięli w nim udział delegaci z 34 krajów, przedstawiciele świata naukowego, lekarze, pedagodzy, socjologowie, elektroakustycy, specjaliści zajmujący się rozwiązywaniem trudnych zagadnień ludzi dotkniętych wadami słuchu. Na Kongresie omówiono wyniki prac prowadzących do pełnej rehabilitacji społecznej i zawodowej głuchych. W dziesięciu komisjach wygłoszono ponad 230 referatów, w tym 110 z Polski. Kongres podsumował dotychczasowy dorobek w zakresie osiągnięć naukowych i poprawy życia głuchych, wskazał metody i środki, które przyczynią się do dalszej poprawy ich bytu, pozwolił zapobiegać głuchocie i zwalczać jej skutki.

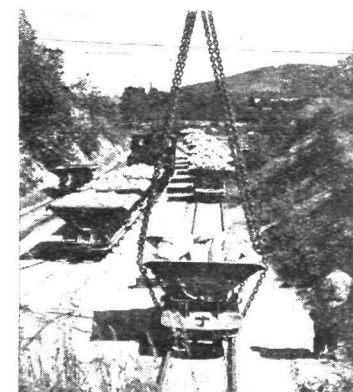
Istniejący od 20 lat Polski Związek Głuchych jest członkiem Światowej Federacji Głuchych, która zrzesza związki narodowe z 44 państw. Powstała ona w 1951 roku i ma swą siedzibę w Rzymie. Według posiadanych danych, liczbą ludzi niedosłyszących i głuchych na świecie sięga około 35 milionów.

W Polsce liczbą inwalidów słuchu wynosi 45 tysięcy. Nowoczesne metody leczenia, pedagogiki i rehabilitacji stwarzają w Kraju coraz skuteczniejsze metody walki z tym ciężkim kalectwem.

■ Studenci amerykańscy odwiedzają Kraj ojców

W Krakowie przebywała 145-osobowa grupa młodzieży polonijnej z ośmiu ośrodków uniwersyteckich Stanów Zjednoczonych. Na czele wycieczki, zorganizowanej przez Narodowy Kościół Katolicki, stał ksiądz John Jakubik. Goście zwiedzili zamek na Wawelu i katedrę, piękne krakowskie kościoły. Wyслушали kilku wykładów na Uniwersytecie Jagiellońskim, zwiedzili muzeum w Oświęcimiu oraz poznali malowniczą Ziemię Krakowską. Mieszkałi w Międzynarodowym Hotelu Siedemkorkim. Pobyt w Krakowie tak im przypadł do smaku, że go o tydzień przedłużyli.

■ Ze Strzeblowa do Belgii



W strzeblowskim kamieniołomie (woj. wrocławskie) wydobywany jest i przerabiany granit, który pod postacią kruszywa i kostki brukowej służy do budowy dróg. Oto fragment strzeblowskiego kamieniołomu, skąd Belgia, Holandia, Stany Zjednoczone i Niemiecka Republika Federalna zakupują krawężniki

■ Chagall w... Olsztynie

Nie tylko w Luvrze, ale i w Olsztynie można obejrzeć obrazy Chagalla. Wystawa olsztyńska, zatytułowana „Picasso, Chagall i inni”, grupuje 32 grafiki i rysunki. Ekspozowane na wystawie prace artystów francuskich zostały przekazane w 1962 roku jako dar dla dzieci polskich, uczniów podstawowej szkoły im. Marii Skłodowskiej-Curie w Gdańsku-Wrzeszczu, a następnie zdeponowane w Muzeum Pomorskim w Gdańsku. W obecnej ekspozycji w Olsztynie ten cenny dar uzupełniono dziełami ze zbiorów Pomorskiego Muzeum.

PAMIĘCI OFIAR REINEFARTHA

DZIEN BYŁ UPALNY, słoneczny, jak tamten, który przed 23 laty oznaczono wojskowym kryptonimem, literą „W”. Przy wejściu do kościoła św. Antoniego przy ul. Senatorskiej w Warszawie stała warta. Cywilne ubrania, harcerskie mundury — uniform mieli jeden — łączący — wąskie białoczerwone opaski z napisem „AK” — jak wtedy w sierpniu i we wrześniu 1944 roku.

Stali przed ogromną, dopiero dziś odsłoniętą marmurową tablicą, pokrytą drobnymi literami nazwisk, a każde z nich było rozrachunkiem z życiem. Setki, setki nazwisk. Skończyła się tablica, a nazwisk nie zamieszczonych zostało jeszcze wiele. Gdy będą fundusze, powstanie ciąg dalszy.

Przed tablicą milczący tłum. Stare kobiece twarze o siwych włosach suchymi oczami szukają nazwisk najbliższego — syna, brata, męża. Nie ma — to było 23 lata temu, każda z nich przeżyła 23 razy ten sierpień — było dość okazji, by wyplakać łzy — zostały tylko suche, głębokie bruzdy na starych twarzach.

W kościele trwa nabożeństwo. Wielka świątynia nie mieści wszystkich. Kolatorskie ławki zajęte przez same kobiety — te same twarze co przed tablicą. Stare, siwe, o suchych oczach. Wśród zieleni bukszanów białoczerwona plama sztandaru, okrywająca trumnę. Otaczają ją warty — łączniczki, koledzy poległych.

Ku pierwszej ławce kierują się oczy wszystkich. Tam siedzi płk „Zagończyk” — dowódca IV Rejonu, mjr „Leliwa” — dowódca Batalionu „Kiliński” i wielu innych.

Pod ich dowództwem, pod upalnym warszawskim niebem, pod flagą białoczerwoną powiewającą na Prudentialu w środku okupowanej Europy, chłopcy w krótkich spodenkach z niesfornymi czuprynami i błyskiem w oczach zdobywali z butelką benzyny w dłoni Poczta Główną na Placu Napoleona, centralę telefoniczną, gmach Pasty na Zielnej, małą Pastę na Piusa i wiele innych obiektów, bronionych przez obunkrowanych niemieckich żołdaków.

Bataliony: „Chrobry” i „Kiliński”, „Łukasiński” i „1806”, „Czarniecki” i „Sowiński”, Zgrupowanie „Gurt” i kompania szturmowa „Stefan”, w sumie kilka tysięcy ludzi wchodziło w skład IV Rejonu, który wraz z trzema innymi stanowił Okręg Śródmieścia.

Oni bronili barykad najdłużej, przez sierpień — w Śródmieściu i na Starym Mieście, przez wrzesień — w środku miasta i na Czerniakowie, wreszcie przez pierwsze dni października. Ich powstanie trwało pełne 63 dni. Dla nich było ono rozkazem, który spełnili do końca.

Dzisiaj jest to taki sam dzień, jak każdy inny, dzień pracy, dzień wyjazdu nowej tury dzieci na wakacje z milionowego miasta. Ale choć o godz. 17 nie wyją syreny, choć nie ma salw armatnich zwracających powszechną uwagę, a kina i radio dają normalny program, nie wolny od big-beatów i komedii — Warszawa, ta powstańcza Warszawa — święci ten dzień w swój sposób. Więcej w tym dniu w kłapach marynarek baretek orderowych, przed kamiennymi tablicami w miejscach straceń — a jest ich po kilka na każdej warszawskiej ulicy, płoną znicze i stoją honorowe warty. Okna witryn księgarskich są pełne książek o tamtych sierpniowych dniach. O godz. 17, o godzinie „W”, tysiące ludzi stoją wśród mogił najbliższych na Cmentarzu Wolskim, gdzie pochowano ofiary potwornych wielotysięcznych mordów dokonanych przez oddziały SS, podległe „niewinnemu” dziś gen. Reinefarthowi, burmistrzowi z wyspy Selt, na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach, gdzie szeregi brzożowych krzyży w

kwaterze AK nie mają końca i na wielu, wielu miejscach spoczynku. Tu przy głuchym łoskocie werbli składają wieńce delegacje ZBoWiD i organizacji społecznych.

O godz. 19 w lekkim zmroku w czworoboku wojska przed Teatrem Wielkim bliższą w ostatnich promieniach słońca bagnety prezentującej broń kompanii honorowej. I jest cisza. Ani jednego słowa przemówienia. Słowa tu są zbędne. Z oddali dochodzą tylko dzwonki tramwajów, szum opon po asfalcie, codzienny normalny gwar milionowego miasta, które przed 23 laty próbowano zabić. Pod uniesione w rozpaczliwym geście samoobrony spiżowe ramię Nike zbliża się w skupieniu długi szereg delegacji. Niosą setki róż, goździków i długich pięknych gładzioli. Składają je tam, gdzie tkwi wielki napis:

„BOHATEROM WARSZAWY 1939—
—1945”.

Tekst: C. CHLEBOWSKI
Zdjęcia: J. H. ŚWITALSKA



Tablica wielka, ale jakże mała, by zmieścić koszmarnie długą listę nazwisk żołnierzy Powstania, którzy, gdy zaszła potrzeba, nie odmówili daniny krwi



Symboliczna trumna z hełmem i białoczerwoną opaską, obraz Matki Boskiej Akowskiej oraz łączniczki stojące na honorowej warcie, przypomniały kilka tysięcy młodych dziewcząt i chłopców — żołnierzy IV Rejonu, którzy w sierpniowe i wrześniowe dni przed 23 laty padli na barykadach Warszawy



Wśród byłych żołnierzy i oficerów IV Rejonu AK, którzy przyszli, aby tu oddać hołd poległym kolegom i podkomendnym, nie zabrakło jednego z najwaleczniejszych — rtm. „Leliwy”, czyli mjr Henryka Roycewicza, ongiś doskonałego kawalerzysty, brązowego medalisty olimpijskiego z 1936 r. w Berlinie, a w czasie Powstania dowódca Batalionu „Kiliński”, który bronił Śródmieścia oraz zdobywał „Pastę”



Pierwszą kolatorską ławkę zajęli nie liczni z żyjących dowódców IV Rejonu i jego oddziałów. Drugi od lewej: dowódca IV Rejonu płk dypl. „Zagończyk” — Stanisław Steczkowski, por. „Huragan” — Henryk Rusznowski, były dowódca 161 plutonu w Batalionie „Odwet” zgrupowania „Golski”, plut. pchor. „Gentek” — Eugeniusz Rajewski, jeden ze zdobywców małej „Pasty” przy ul. Piusa, który zlikwidował również tankietkę niemiecką spieszącą z odsieczą z Alei Szucha

Relacje z kolonii w Kraju

Zgodnie z naszą zapowiedzią, zamieszczamy dalszy ciąg ilustrowanych relacji z pobytu dzieci Polonii francuskiej i belgijskiej na miesięcznych koloniach w Polsce.

Dziś bohaterami naszych fotoreportaży są dziewczęta i chłopcy, przebywający na dwóch oddzielnych, ale ściśle współpracujących ze sobą obozach w Gdyni.

Sama Gdynia leży na pograniczu dwóch wielkich zatok — Gdańskiej oraz jej zachodniej części zwanej Pucką. Właśnie w Pucku oraz nad wodami jego zatoki koncentrowało się życie obu obozów. Tu odwiedzano Harcerski Ośrodek Morski, tu dziwiono się, że woda w morzu jest słodka. Otóż Zatoka Pucka, oddzielona od wielkiego morza Półwyspem Helskim, ma dodatkową przegrodę — podwodną, biegnącą 2 m pod lustrem wody mierzącą zwaną Rewą Mew, która ją odgradza od Zatoki Gdańskiej. Dzięki tym obu przegrodom wody zatoki mają przewagę wód słodkich oraz słodkowodną faunę, a więc ryby i rośliny rzeczne. Jedynie tylko silne sztormy napędzają tu czasem wody słone.

Wody Zatoki Puckiej, o wiele płytsze niż Zatoki Gdańskiej (ok. 7 m), są jedynym miejscem na Bałtyku, które w zimie zamraża w całości.

NAD ZATOKĄ PUCKĄ

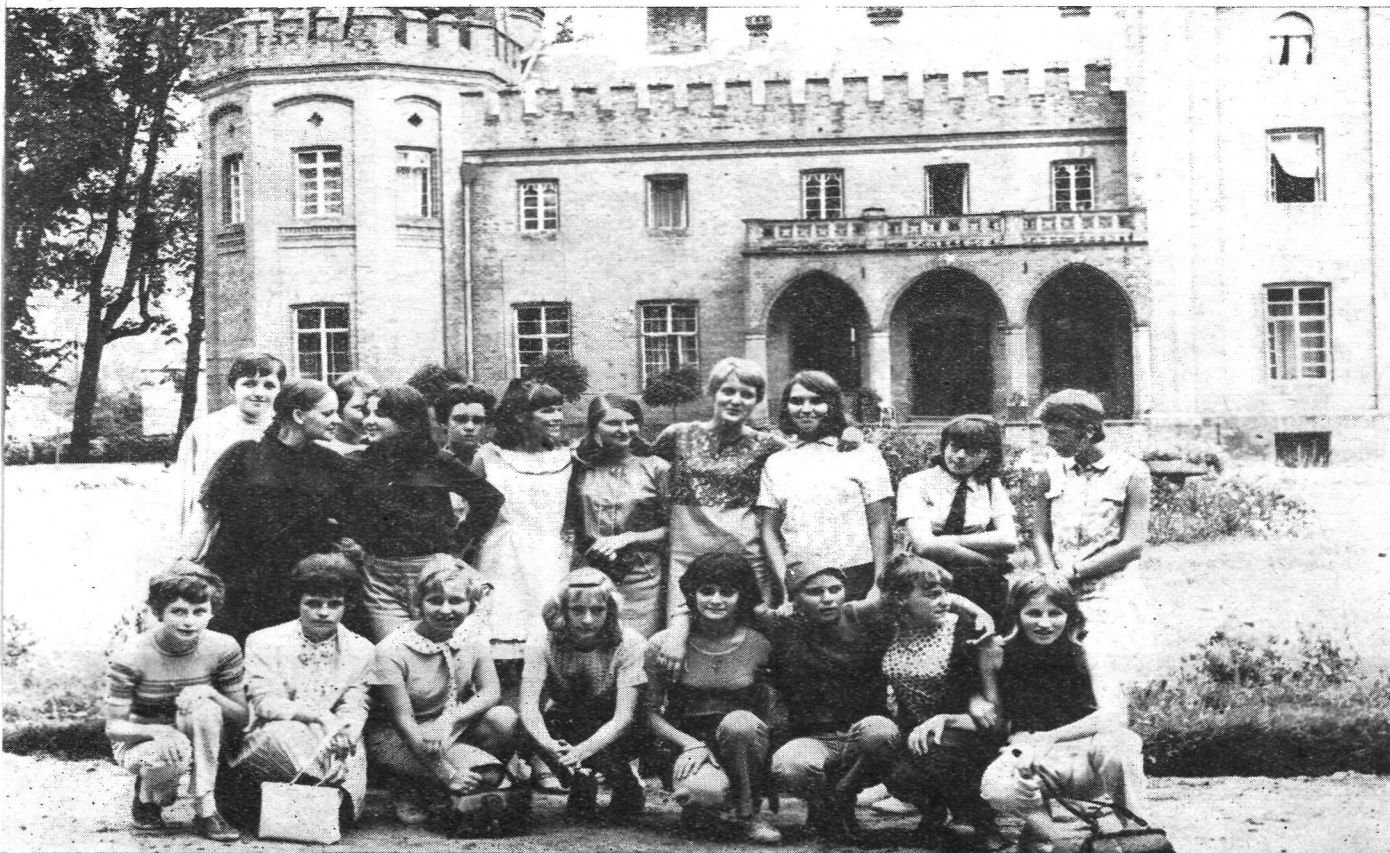


Wieczorami w ramach dość częstych odwiedzin obu obozów odbywały się potańcówki i wieczorki. I tu można było zobaczyć, że młodzież, która jeszcze rok czy dwa lata temu wyginała biodra i ramiona w serwach, twistach i Let's kissach — dziś z przyjemnością wraca do starodawnego „tango milonga”



Autokary wywoziły dziewczęta z obozu zaraz po śniadaniu, przywoziły zaś o późnym wieczorze. Nie było ciekawszego obiektu w promieniu kilkudziesięciu kilometrów od Gdyni, którego dziewczęta nie zwiedziły

Najciekawszymi wycieczkami były te, w których ucz



Przed pięknym pałacem starej królewskiej majątności Jana III Sobieskiego w Rzucewie koło Pucka spotykamy uczestniczki kolonii francuskiej w Gdyni. W pierwszym rzędzie klęczą od lewej: Liliane Glen z Moyeuve-Grande, Thérèse Czajkowska i Ania Dmuchowska z Les Gautherets (Saint-Vallier), Mariette Borowska z Dijon, Geneviève Retourna z Uzès, Geneviève Grzegolec z Saint-Etienne, Eliane Kowalski z Saignes-les-Mines, Sophie Pelech z Saint-Etienne; w drugim rzędzie stoją od lewej: Joselyne Moriseaux z Lille, Eliane Pivovard z Haute-Yutz, Claudia Mrozkowiak z Liétard, Edwige Kucharski z Sedanu, Alice Malejka, Joséphine Szkudlarek z Hagondange, Marie-Joséphine Rajska z Maizières-les-Metz, Anick Irla z Talange; w trzecim rzędzie od lewej: Gabrielle Woźniak z Fontoy, Liliane Pawluczuk z Noviant-aux-Près, Nadine Kirch z Pont-à-Mousson. Nie znalazły się na zdjęciu z powodu wyjazdu do rodzin następujące uczestniczki kolonii w Gdyni: Irène Niedzielska z Gueugnon, Joselyne Cransac z Fraisse, Evelyne Warczak z Hagondange, Josiane Stechlik z Algrange, Aline Czekał z Folschviller, Gabriëlle Dubisz z Creutzwald, Maria-Helena Jaśkiewicz z Piennes i Grażyna Dusińska z Chambon-Feugerolles

TANGO TAŃCEM nr 1

26 DZIEWCZĄT Z FRANCJI i 14 z Kraju — w sumie 40 — na kolonii w Gdyni, to 40 problemów wychowawczych dla doświadczonego grona pedagogicznego.

— Przez kilka pierwszych dni nie bardzo rozróżnialiśmy nasze dziewczęta z Francji — mówi kierownik pani mgr Walentyna Ludowska — dlatego, że każda z dziewcząt miała po kilkanaście barwnych fatałaszków w walizce i zmieniała ubarwienie jak kameleon. Istna rewia mody. Dopiero po kilku dniach, kiedy przekonały się, że najpraktyczniejszym i najmniej krępującym strojem jest lekka niebrudząca sukienka lub szorty, skończyły się te przebieranki i już wiemy „kto jest kto”.

Dziewczęta są ciekawe Polski, ale od innej strony niż mieszkający o kilka kilometrów dalej chłopcy. O ile tancerki godzinami wystawiali przed sklepami sportowymi, to ich koleżanki przy każdej okazji odwiedzają gdynskie sklepy „Domu Mody” czy „Telimeny” i zawzięcie dyskutują na temat tego, czy polscy projektanci już „doszli” do Diora czy jeszcze nie. Liliane Glen, Mariette Borowska, Sophie Pelech i Claudia Mrozkowiak, częściej bezpośrednio po polsku, częściej przy pomocy lepiej władających tym językiem koleżanek na wyjściu odpowiadają na zadane pytania, jak ich zdaniem ubierają się Polki:

— Modnie! — co do tego wszystkie są zgodne, a potem z lawiny opinii można wysądować, że choć to na pewno jest trudniejsze w Polsce niż we Francji ze względu na szczuplejsze możliwości, Polki z powodzeniem dotrzymują kroku w modzie Francuzkom, a czasem nawet — przez dyskretną skromność — są elegantsze od nich.

— A poza tym malują się z większym umiarem i to chyba wychodzi im na korzyść — taka opinia przeważa.

Ogólne zdanie jest takie, że polska kuchnia jest smaczna (naturalnie nikt nie akceptuje tłuczonych ziemniaków i woli sałatę z oliwą a nie ze śmietaną), ale kilka dziewcząt, mimo iż oczy ich są wyraźnie głodne, rezygnowały na początku kolonii z połowy posiłku, mówiąc że już się zasyciły. Trudno. Dbałość o figurę wymaga ofiar. Ale wytrzymały w tej powściągliwości tylko przez kilka pierwszych dni, bo któż zdoła się oprzeć po całodziennym wycieczce i mocnym przegłodzeniu zjedzeniu kilkunastu pierogów z jagodami?

Dziewczęta dobrze się czują w swym „kobięcym” odosobnieniu, ale też gdy jest zapowiedziana wizyta chłopców wykazują zadziwiającą dbałość o każdy szczegół fatałaska. Bo chłopcy nigdy nie przyjdą z pustymi rękoma, zawsze jest gitara, akordeon i wtedy „Stranger in the night” — szlagier kolonijny, wyciąga z wszelkich kątów taneczne pary.

A w ogóle to można zauważyć jakieś zbliżenie zainteresowań dziewcząt polonijnych i krajowych, co jeszcze dwa-trzy lata temu było sprawą problematyczną. Już choćby zgodna opinia, że jednak najlepszy taniec to jest tango, a nie jakieś twisty czy serwy, daje wiele do myślenia.

Kolonia ta jak i 19 poprzedzających w poprzednich latach zrodziła wiele przyjaźni. Należy mieć nadzieję, że aż do przyjazdu w przyszłym roku do Polski będą między Francją a Krajem kursowały liczne listy. Córka kierowniczki kolonii Elżbieta Ludowska, choć po maturze już i kręci nosem, że koleżanki za młode, zebrała tych adresów kilkanaście i solennie obiecuje odpisywać na każdy list.



Uwagę chłopców z obozu w Gdyni, zwrócił w czasie 3-dniowej wycieczki do Warszawy „Dom Chłopa”. Ten pokryty kolorową mozaiką dom uznali za najlepsze tło do zbiorowego zdjęcia. Od prawej kłęczą: Louis Iwańczak z St. Etienne, Daniel Młynarczyk z Bourg, Jean Bajorski z Moyeuve-Grande, Czesław Klaus z Valleroy, Christian Bubienko z Rombas, Henri Grzegolec z St. Etienne, a tuż przed nim wychowawczynie grupy najstarszej — p. Anna Paszko z Paryża. Stoją zaś od prawej: Tadeusz Kupiszewski z Kraju, Krystian Kupisiak z Montois-la-Montagne, Reynold Aquilrzi z Lyonu, Marcel Krall z La Ricamarie, Patrice Galewski (w ciemnych okularach) z Montois-la-Montagne, Robert Czekała ze Stiring-Wendel, Serge de Biasio z Algrange, Jean-Claude Kirch z Pont-à-Mousson, Didier Stasiak (pochylony) z Moyeuve-Grande, Jan Tysiąc z St. Etienne, André Golab z Joef, François Kucharski (w czarnej koszulce) z Sedanu, Daniel Hanuszek z Les Gautherets, Gabriel Dalvit z Fontoy, Patrick Lebowski z Guenange, Georges Żuk (pochylony w czarnej marynarce) z Montroge, Gilbert Soldat z Sanvignes-les-Mines, Wiesław Plywacz z Montceau-les-Mines, Alain Patrycha z Moizères, Marian Czarniecki (w okularach) z St. Guentín, Richard Wolstein (w jasnej kamizelce) z St. Valier, Wilfried Tomaszowski (w marynarskiej czapce) z Pont-à-Mousson, Stanisław Grabia z Domerat, Jean Kolaczek z Sanvignes-les-Mines, Daniel Polakowski (koszulka w paski) z Roselay, Gerard Błaszczak (w okularach) z St. Etienne, Georges Rudyk z Bron (Lyon), Alain Rudolf (na pierwszym planie w marynarskiej czapce i marynarce) z Schoeneck, René Dola z La Ricamarie, Laurence Berman z Thonon, Andrzej Vit z Viesberg-à-Forbach, Alain Brousse (pierwszy plan) z Uzès, Ryszard Jesionowski z Folschiwiller Cité, Jannick Melinger z Salengre Cromoisy, Henryk Zoltaszek z Chambron Feugerolles, Czesław Krakowiak z Sanvignes-les-Mines, Jean Tomicki z St. Vallier, Edmund Jedosz z St. Vallier. Z powodu wyjazdu do rodzin lub też innych zajęć kolonijnych na zdjęciu nie znaleźli się następujący uczestnicy obozu gdynskiego: Daniel Dawidowicz z Merlebach, René Glenier z Lyonu, Bogdan Tworowski z St. Etienne, Daniel Żmurek z Montceau-les-Mines, Jean-Paul Chanas z Montceau-les-Mines, Casimir Ratyński z Lyonu, Stanisław Ledochowski, Marien Duraj z Laval par St. Eloy-les-Mines, Michel Chalubiec z St. Etienne, Bernard Tuliński z Gautherets

U CZERWONYCH PIRATÓW

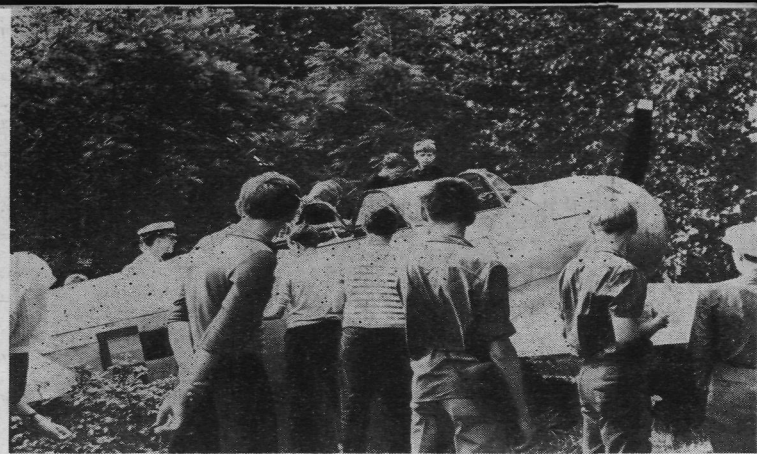
JEŻELI CHŁOPAK w wieku lat piętnastu nie interesuje się wodą, żaglówkami, wszelkiego rodzaju sportem wodnym, to można przypuszczać, że jest to raczej chłopak niezdrowy. A wobec tego, że na obozie Polonii francuskiej w Gdyni wśród 70 uczestników w wieku lat 13—17 niezdrowych raczej nie było, nie więc dziwnego, że wizyta w Harcerskim Ośrodku Morskim w Pucku wzbudziła największe zainteresowanie. Tam można było podpatrzeć rówieśników z Kraju, spod których zręcznych palców powstawały wysmukłe, smigłe łódzie żaglowe, tam można było również dowiedzieć się najważniejszych rzeczy, które zna każdy, kto pływał pod żaglami, a szczególnie kto przygotowuje się właśnie do regat „Czerwonych Żagli”. A harcerzy było tam ponad 150 i wszyscy właśnie mieli startować w tych zawodach. Nazwano ich „Czerwonymi Piratami”. Zawody miały rangę międzynarodową, gdyż goszczono tam grupę pionierów. Było więc co oglądać i co podpatrywać. Chłopcy tak sobie upodobili żeglowanie i w ogóle sprawy



W Harcerskim Ośrodku Morskim w Pucku czas upływał błyskawicznie wśród jachtów, „problemów” morskich i innych męskich tematów. Zastępca komendanta ośrodka harcerskiego udziela fachowych porad grupie kolegów z Francji, m. in. Danielowi Dawidowiczowi (w białej czapeczce) i Danielowi Polakowskiemu (pierwszy z lewej), jak przygotować kapok

morskie, że kilku z nich, a m. in. Wilfried Tomaszowski, kupili sobie w sklepach marynarskie czapki z dystrykcjami oficerskimi i martwili się jedynie, że admirałskich nie było.

W ogóle można powiedzieć, że wszystko, co się działo na obozie, działo się wokół spraw morskich. Może to dziwne, bo większość uczestników obozu była nad morzem nie po raz pierwszy. Ponad dwudziestu widziało wspaniałe, lazuruwe, spokojne, pełne błękitu i palm kokosowych na brzegu morze Riwieri Francuskiej i mówili, że na pewno jest piękniejsze niż zimny, surowy, bijący grzywiastymi falami o brzeg Bałtyk. Ale czyż można sobie wyobrazić dzięki wyprawy Wikingów, przygody, sztormy morskie na tle spokojniutkiego Morza Śródziemnego? Raczej nie. Do tego jest potrzebna właśnie pełna bryzg surowość Bałtyku. Zwiedzali więc wszystko, co miało związek z morzem, i port w Gdańsku, i bohaterski, znany na całym świecie cypel Westerplatte, i starą cichą katedrę w Pucku, gdzie porozwieszane na ścianach rybackie sieci mówią dobitnie o patronacie świątyni nad sprawami ludzi morza.



W Harcerskim Ośrodku Morskim można było spotkać wiele atrakcji nie tylko wodnych, ale i powietrznych. Z wielkim zainteresowaniem oglądano prawdziwy samolot szkolny, a najbardziej interesował on Georges Żuka (stoi najwyżej z drugiej strony kabiny) oraz Wilfrieda Tomaszowskiego (w marynarskiej czapce)

Wielu za to uczestników po raz pierwszy w Polsce dopiero zetknęło się z teatrem. Operetka Lehara „Miłość cygańska” w Operze Leśnej w Sopocie była dla nich pierwszym przeżyciem teatralnym. Spektakle w Teatrze Muzycznym w Gdyni i Nowym w Gdańsku, a także obejrzenie wielkiej rewii japońskiej w Warszawie uzupełniało program artystyczny.

Chłopcy jednak większe zainteresowanie wykazywali w Muzeum Wojska w Warszawie, gdzie trafili w czasie trzydniowej wycieczki. Tam obok starych mundurów i rycerskich zbroi można było zobaczyć prymitywną broń powstańców warszawskich, którą ich rówieśnicy walczyli skutecznie przez 63 dni z czołgami.

Sama świadomość mieszkania przez trzy dni w Pałacu Kultury i Nauki, najwyższej budowli użytecznej w Polsce, była wielkim przeżyciem.

Najstarszą i stosunkowo najbardziej niesforną grupą opiekowała się najmniejsza „osóbka” na obozie, pani Anna Paszko z Paryża, studentka Państwowej Szkoły Nowożytnych Języków Wschodnich i Sorbony. Co najważniejsze, bez żadnego wysiłku dawała sobie radę z chłopcami, których miała w grupie ponad 20, może dlatego, że częste przebywanie z bratem w Paryżu pozwoliło jej poznać „męskie” charaktery. Choć właściwie pani Anna nie zdradza specjalnych zamiłowań pedagogicznych, raczej zajmuje się teatrem. Lubi polskie płyty folklorystyczne, uwielbia wszystko co wartościowe w literaturze polskiej oraz zbiera znaczki. Nie przepuściła dotąd żadnego z wydarzeń kulturalnych w Paryżu związanych z Polską, oglądała dwukrotnie „Tango” Mrożka, krzywi się nad — jej zdaniem — zbytnią wulgarnością interpretacji francuskiej tej sztuki, głęboko przeżywała występy teatru Hanuszkiewicza, gdy na paryskich deskach teatralnych w ub. roku wystawiał „Zbrodnię i karę” i „Kolumbów” 44”. Poza tym lubi Leśmiana, kołduny i bigos, za flakami zaś nie przepada.

A jednak mimo tych zdecydowanie kulturalnych zamiłowań, z chłopcami, którymi się opiekuje, znajduje bardzo łatwo język i ich zainteresowania udziela im się ich opiekunce. Można to było zauważyć w czasie wizyty w ośrodku olimpijskim w Cetniewie, gdzie razem ze swoimi chłopcami na wyścigi pani Anna podtykała złotym medalistom olimpijskim w boksie — Kulejowi, Kasprzykowi, Grudniowi i twórcy ich sukcesów — trenerowi Stammowi — swój notatnik z próbą o autograf.

— Nasza pani jest fajna — mówi Janek Tomicki — 15-letni filar piłkarskiej reprezentacji kolonii, zaś w rodzinnym Montceau-les-Mines środkowy obrońca drużyny kadetów w klubie CSS.

W piłkę gra już od czterech lat, przedtem w drużynie mini — teraz zaś awansował wyżej. Poza tym interesuje go siatkówka, rugby i lekka atletyka. Ale przyszłości w sporcie nie widzi dla siebie, woli raczej zostać dobrym elektrykiem. Uczy się dobrze w trzeciej klasie ogólnokształcącej, a poza sportem znajduje czas na granie na gitarze w zespole folklorystycznym Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej.

W ubiegłym roku był również na kolonii w Warszawie na Saskiej Kępie, ma więc skalę porównawczą i mówi, że w tym jest większa dyscyplina. Chętnie przyjechałby i w roku przyszłym na kolonie, tym razem w góry, bo ich jeszcze nie zna.

Robert Czekała z Stiring-Wendel nie ma jeszcze skali porównawczej, gdyż w Polsce jest po raz pierwszy. Mówi jednak po polsku swobodnie, choć polszczyzną dostojną. Zadziwia nas stwierdzeniem, że nie tylko on, ale i jego rodzice urodzili się we Francji, a tylko dziadkowie pamiętają Polskę. A mimo to w domu mówi się wyłącznie po polsku. Dziadkowie pochodzili z Nowego Miasta i Tarnówka. Robert poza polskim i francuskim świetnie zna również niemiecki; pochodzi z Lotaryngii i to z miejscowości położonej o 200 m od granicy niemieckiej. O Polsce słyszał i w szkole, i od kolegów wiele, ale tak w cichości ducha nie przypuszczał, że jest tak piękna, tak inna od Francji, a przy tym sądził, że jest tu gorzej. Chętnie chodzi na mszę polską w kościele, gdzie może śpiewać pieśni w ojczystym języku.

Ostatnie dni pobytu w Polsce chłopcy poświęcają na zakupy prezentów. Aż dziw, że młodzieńcy w wieku, w którym raczej nikt by ich nie posądzał o pamięć o kimkolwiek poza sobą, potrafią tak dobrze wybrać kryształowy wazonik dla matki, koronkowy kołnierzyk dla siostry w CEPELII, czy też fajkę dla ojca.

Za kilka dni odlot do Francji.

niczyli chłopcy z Francji z obozu przy ul. Kieleckiej





17-letni warszawiacy zwyciężają na „Cadetach” pod Montrealem

Tak właśnie wyglądają *Cadety*. Te małe młodzieżowe żagłówki, na których pływają młodzi, czasami nawet bardzo młodzi ludzie. Wszyscy najwięksi żeglarze świata próbowali swych sił w młodym wieku na *Cadetach*. Sternik i jeden „załogant” jak mawiają w żeglarskim świątku, mała łódka i dwa żagle — to wszystko składa się na *Cadeta*. I w tej właśnie klasie żagłówek w roku przyszłym na jeziorze w Giżycku rozegrane zostaną po raz pierwszy w Polsce mistrzostwa świata. Ale zanim do tego doszło...

W ubiegłym roku to była sensacja na wielką skalę, kiedy dwaj polscy chłopcy — B. WYSZKOWSKI i A. NO-WICKI, zdobyli tytuły mistrzów świata. Mówiono, że to przypadek, bo istotnie w żeglarskim przystoiwoju lut szczęścia jest bardzo ważny. Sukces tych chłopców był poważnym zaskoczeniem dla żeglarskiego świata, jako że Polska nie zalicza się do potęg w tej dyscyplinie.

Wszak później, gdy Wyszkowski przekroczył granicę wieku (w klasie *Cadet* mogą startować chłopcy tylko do 17 lat), na mistrzostwach Polski zwyciężyła para warszawiaków, Zbyszek KANIA i Konrad FICK. Oni też pojechali na mistrzostwa świata, które w tym roku organizowane były na jeziorze Sant-Louis pod Montrealem.

W pierwszym biegu Polacy zajęli drugie miejsce. To jeszcze mógł być przypadek. Ale biegów było aż sześć i wszystkie pozostałe zakończyły się zwycięstwem warszawiaków. Z 32 łodzi żagłowych, które stanęły na starcie tegorocznych mistrzostw świata, 31 walczyło tylko... o drugie miejsce. Młodzi Polacy byli bezkonkurencyjni. Najtrudniejsza była przedostatnia seria. Zerwał się silny wiatr, fala wywracała małe żagłówki jak pudełka zapałek. Walka z wodami jeziora toczyła się we mgłę. Sędziowie i widzowie nie wiedzieli, kto ocalał z pogromu. Do mety zbliżyła się bowiem tylko cztery *Cadety*, a w pierwszym z nich Zbyszek i Konrad. 1500 młodych chłopców pływa w Polsce na *Cadetach*. Ta dyscyplina sportu cieszy się rosnącym zainteresowaniem młodzieży. Zwycięstwo mistrzów Polski tak w ub. roku, jak i w Montrealu, nie było na pewno dziełem przypadku.

Sternik Zbyszek Kania ma 16 lat, jest uczniem zasadniczej Szkoły Zawodowej przy Tarchomińskich Zakładach Farmaceutycznych. Jego ojciec jest przystaniowym w warszawskim AZS. „Załogant” Konrad Fick jest o rok starszy. Należy do Wodnej Drużyny Harcerskiej i w harcerstwie nauczył się pływać.

Za rok, w Giżycku tylko Kania będzie mógł startować w mistrzostwach świata, ale obaj, w równej mierze, zdali najwyższy egzamin żeglarskich umiejętności.

WSPÓLNE PRZYGOTOWANIA FRANCUZÓW I POLAKÓW DO MEKSYKU

CHOĆ WYDAJE SIĘ to paradoksem, w sporcie nie zawsze najważniejszy jest mecz i jego wynik. A tak było ze spotkaniem gimnastyczek Polski i Francji, które walczyły w Zakopanem. Pod Giewontem zdecydowane zwycięstwo odniosły Francuzki, podczas gdy następczyni Heleny Rakoczy i Natalii Kotówny (na zdjęciu) ćwiczyły wyraźnie gorzej. Nie było to zresztą niespodzianką dla polskich trenerów, jako że po



zakończeniu IV Ogólnopolskiej Spartakiady w gimnastyce najlepsze zawodniczki więcej czasu poświęcały na odpoczynek, wycieczki piesze po górach niż na zajęcia w gimnastycznej sali. Prawdziwą rewelacją zawodów była natomiast *Evelyne Letourneur*, która zwyciężyła we wszystkich konkurencjach indywidualnych i była bezwzględnie najlepszą zawodniczką spotkania.

Ale dlaczego mecz nie był najważniejszy?

— Otóż dlatego, że rozegrany został tylko w układach dowolnych, a gimnastyczki Polski i Francji, które razem przez trzy tygodnie sierpnia pracowały w Zakopanem, wspólne treningi poświęcały na poznanie i opanowanie układów obowiązkowych, zatwierdzonych na Igrzyska Olimpijskie w Meksyku.

Na ostateczny sukces w gimnastycznych konkurencjach na Olimpiadzie, podobnie jak na mistrzostwach świata i Europy, składają się ćwiczenia na poszczególnych przyrządach w układach obowiązkowych i dowolnych.

Na każdą z tych największych imprez ustala się zestaw ćwiczeń obowiązkowych, które muszą wykonać wszyscy uczestnicy. Wszyscy jednakowo. A dokładne poznanie i rozszyfrowanie układów, przesyłanych na papierze do federacji narodowych, nie jest rzeczą prostą. I sportowcy różnych narodów pomagają sobie

nawzajem w pracy nad ich opanowaniem. Tak jak gimnastyczki Francji i Polski.

Polsko-francuska współpraca w jak najlepszym przygotowaniu reprezentacji do Igrzysk Olimpijskich w Meksyku nie ogranicza się tylko do wspólnych treningów gimnastyczek. W Pirenejach, w nowym ośrodku Font Romeu gościli już polscy pływacy, w październiku trenować tam będą razem z francuskimi kolegami polscy lekkoatleci, skoczkowie do wody, bokserzy i szermierze. W centralnym ośrodku przygotowani olimpijskich w Polsce goszczono francuskich szermierzy, pozostałe ośrodki polskie również będą terenem treningu francuskich olimpijczyków.

Ośrodek w Zakopanem nie jest tak wysoko położony jak Font Romeu czy Meksyk, bo tylko na wysokości ok. 1000—1200 m ponad poziomem morza. Warunki są tu więc tylko zbliżone do tych, jakie czekają uczestników przyszłorocznych Igrzysk, ale inne niż w Warszawie i Paryżu.

A więc nie mecz był najważniejszy w spotkaniu pod Giewontem, ale wspólne treningi, wzajemna pomoc, i co również nie jest bez znaczenia — osobiste kontakty, przyjaźń i koleżeństwo polskich i francuskich zawodniczek.

SPORT i NEPTUN GŁÓWNE PUNKTY PROGRAMU

BYŁO ich w tym roku w Polsce ładnych kilka tysięcy. Młodzi archeologowie, praktykanci, muzycy, filmowcy, uczestnicy wszelkich studenckich sympozjów i obozów, a także potężna półtoratyśieczna grupa młodzieży wszelkich zainteresowań, którzy dzięki zaproszeniom Ministerstwa Oświaty oraz Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia” znaleźli się na miesięcznym pobycie w Polsce. Jedni — ci najmłodszy — przyjechali tu na miesiąc wakacyjnego wypoczynku, drudzy — ci starsi — odpoczynek chcieli połączyć z jakąś społeczną korzyścią — tancerze i śpiewacy chcieli się w Chylicach nauczyć nowych obertasów i „hellochań”; trampowie i turyści — „ukraść” do Francji, Belgii i NRF trochę widoków polskich i wrzescie ci, którzy się zjechali w Olecku, chcieli urwać coś ze swych sekund, dodać do metrów. Zjechali tu sportowcy — dziewczęta i chłopcy — w sumie ponad 70, z przynajmniej jedną przewagą „Francuzów” (54). Byli tu także Polacy z Belgii (3), NRF (6), Szkocji (2), Węgier (4) i Czechosłowacji (2).

ZESPÓŁ Z PERSAN

W ostatniej chwili ten sportowy ośrodek postanowiono połączyć w dość ryzykownym mariażu z... folklorem. Zjawił się tu sympatyczny zespół taneczny „Łowiczanka” z Persan spod Paryża, dopełniając liczby uczestników do stu.

Bano się trochę tego mariażu, bo jak tu pogodzić atmosferę walki o gola z łagodnymi, posuwistymi krokami kujawiaka.

Alé próba ta odbywała się pod czujnym i doświadczonej okiem p. Ochendala, który w roku przyszłym będzie prowadził jubileuszowy — X obóz sportowy polonijnej młodzieży.

— *To była udana próba. Zespół folklorystyczny rozśpiewał i roztańczył nam obóz. To była dla mnie niespodzianka ten pierwszy kontakt z młodą, głodną polskiego tańca i pieśni młodzieżą podparzą. Słabo u nich co prawda z językiem, ale oni Polskę czczą i wyznają nogami i gardłami — hultzami i piosenką, której słów nieraz nie rozumieją.*

Tak też było. Tancerzy z zespołu „Łowiczanka” trzeba było hamować w tanecznych zapędach. Stanowili osobną grupę pod kierunkiem świetnej instruktorki p. Janiny Cygi-Karpińskiej, która poza doskonałą demonstracją tańca, mówi perfektnie po francusku.

Obok tanecznej były tu jeszcze cztery grupy — siatkówki mężczyzn i kobiet, lekkiej atletyki i piłki nożnej.

REZULTATY SPORTOWE

Co daje taki obóz młodzieży, która już biega, skacze i rzuca?

Trzeba być na obozie, aby to zrozumieć. Młodzi, chętni, ale przeważnie bardzo amatorscy zawodni-

cy, którzy niedługo będą instruktorami w polskich skupiskach sportowych, dopiero na takim kursie po raz pierwszy słyszą o fizjologii, o metodyce treningu, interwału i innych bardzo zasadniczych rzeczach.

80 procent uczestników obozu było po raz pierwszy w Polsce. Ale kilku sportowców, szczególnie z Francji, jest tu już po raz drugi lub trzeci. Ci są już starymi znajomymi p. Ochendala.

Po każdym przyjeździe do Francji czy NRF piszą do swego instruktora długie listy, przesyłają wycinki z gazet, donoszą o sukcesach. A sukcesy przychodzą. W 2—3 tygodnie po obozie w Polsce następuje wyraźny skok formy sportowej. Donoszą o niej Zenon TURBANSKI z Sokola Carvin, bardzo dobrze zapowiadający się skoczek w dal, oszczepnik i biegacz; Christian TEOURSEL, czołowy miotacz kulą z Bruay-en-Artois; POCHWALSKI, lekkoatleta z Carvin; bardzo dobry piłkarz z Dortmundu z NRF — MAŁOBĘDZKI i inni.

Taki obóz jest doskonałym przeglądem nie tylko postępów sportowych, ale także zmian zachodzących wśród młodzieży polonijnej. A jej oblicze wyraźnie się zmienia. O ile na pierwszych obozach przed kilku laty, przeważającą większość stanowiła młodzież pracująca — przeważnie robotnicy, w ostatnim obozie 60 procent jego składu to studenci.

FRANCUZI W POLSKICH ZESPOŁACH

Coraz częściej przyjeżdżają do Polski rodowici Francuzi czy Belgowie, członkowie polskich zespołów. W Olecku odkryli Polskę po raz pierwszy dwie młode, urocze nauczycielki, francuskie pp. Nicole ADROST z Tours, wykładowczyni języka francuskiego, oraz Michèle DUVENAU z Veigne, wykładowca tam język niemiecki i angielski. Obie były ciekawe wszystkim. Zwiedzały okoliczne Państwowe Gospodarstwa Rolne. Interesowały się ich osiągnięciami hodowlanymi i rolnymi. Obie wały sobie solennie, że w roku przyszłym przyjadą znów do Polski, ale samochodami, aby więcej zobaczyć.

Pan Henryk BALLA, działacz Towarzystwa France-Pologne zacięrał tylko ręce, gdy słyszał takie opinie:

— *Te koleżanki będą najlepszymi propagatorkami Polski we Francji.*

WZAJEMNIE O SOBIE

Poza poznawaniem Polski młodzież zgromadzona na obozie zapoznała się wzajemnie z życiem polonijnym w swoich krajach. Bo przecież odbywa się ono w dość istotnie różnych warunkach np. we Francji czy NRF, czy też na Węgrzech lub w Czechosłowacji. Tak np. Zdzisława PRZECZEK — studentka pedagogiki z Trzyńca, córka polskiego pisarza z Czechosłowacji, miała wiele ciekawych rzeczy do opowiedzenia o życiu organizacyjnym Polonii na czeskim Śląsku i zawsze znajdowała chętnych słuchaczy i dyskusantów.

Poważną pozycję w programie obozowym stanowiły wycieczki. Poza końcową, trwającą kilka dni, której trasą prowadziła przez Olsztyn, Malbork, Trójmiasto, Grunwald i Ostródę do Warszawy (tu na życzenie uczestników obozu — podkreślamy, że wiele zawiądujących przewodnicze p. Zofii GROTE z Warszawy), niezapomniane wrażenie wywarły na nich wypadły w Białostockie i Augustowskie.

Zwiedzono tam wielką fabrykę w Fastach, ruiny kwatery Hitlera w Kętrzynie, ośrodki żeglarskie w Wilkach oraz piękne jeziora koło Augustowa. Nad nimi to „doszło” do spotkania z obozującą tu młodzieżą z trzech Akademii Medycznych — w Warszawie, Lublinie i Białymostku.

WOKÓŁ OGNISKA...

Ognisko płonęło wielkie aż pod wygwieżdżone niebo, płynęły pienia miękkie i rozlewne, czasem skoczne, na przemian po francusku i po polsku, gdy naraz rozchyliły się tataraki i z ciemnej toni w krąg ognia wpłynął Jego Królewaska Mość Neptun z orszakami trytonów i nimf. (Zdjęcie z tego ogniska prezentujemy na stronie 23). Nadszedł czas poddańczego hołdu. Kto nie chciał się poddać próbie, jego gardu groził miecz (drewniany). Wobec tego próbowali wszyscy, choć po papce piaskowej, której konsumpcją „zaślubiano” gości z królestwem Neptuna, dość długo jeszcze zgrzytało między zębami.

Wieczory obozowe poświęcano dyskusjom. Było nad czym. Uczestnikom wyświetlono kilka ostatnich filmów polskich, z serii tzw. wielkich, jak: „Krzyżacy”, „Popioły”, „Faraon”, „Olimpiada w Rzymie”, „Olimpiada w Tokio”, a także ponad 10 filmów szkoleniowo-sportowych jako część edukacji technicznej.

I tak minął miesiąc nad jeziorami Warmii i Mazur (obszerny fotoreportaż — na str. 23). Od następnego spotkania dzieli polonijnych sportowców długich jedenaście miesięcy.

■ NOUVELLES ECLAIR ■ NOUVELLES ECLAIR ■

▲ Lundi 4 septembre: 8.124.000 élèves ont pris le chemin de l'école à la rentrée, soit environ 500 mille de plus que l'année dernière. Le nombre des instituteurs a été augmenté de 13 mille.

▲ Le petit village de Polkilty, aux environs de Morąg en Mazurie, compte presque autant de cigognes que d'habitants. Malgré l'absence de prairies humides et d'étangs, plus de cent cigognes reviennent ici chaque année.

▲ 75 mille machines à coudre „Lucznik” seront exportées cette année vers les Etats-Unis et les pays africains. Plusieurs pays européens figurent également sur la liste des acheteurs.

▲ 93 longs métrages polonais ont été achetés l'an dernier par 33 distributeurs étrangers. Les plus gros succès ont été: „Beta”, „Le Bômerang”, „Premier jour de liberté” et „Manuscrit trouvé à Saragosse”. Les principaux pays acquéreurs sont l'Allemagne fédérale, l'Angleterre, la Yougoslavie, l'Allemagne démocratique, la Roumanie, la Tchécoslovaquie et l'Union Soviétique.

▲ Durant la seconde moitié d'août, les conserveries polonaises d'Etat „consommaient” chaque jour plus de trois mille tonnes de tomates, légumes et fruits. Les usines coopératives en transformaient tout autant.



TRÈS LONGTEMPS les Varsoviens n'ont à vrai dire disposé que d'une seule grande piscine à l'air libre appartenant au club „Legia”. Celle-ci leur était évidemment souvent disputée par les sportifs et les organisateurs des compétitions. Des temps meilleurs ont commencé avec la mise en service du complexe de piscines de Szcześliwice dans le quartier d'Ochota. Cet été — malheureusement bien après le début de la saison — on a inauguré la nouvelle piscine de la rue Inflancka (ci-dessus) qui dessert les quartiers de Muranów et de Żoliborz. D'autres sont en construction. Mais le quotidien „Express Wieczorny” a eu la bonne idée de demander à ses lecteurs de lui signaler tous les bassins de dimensions non réglementaires „oubliés” dans différents quartiers et cités d'habitation. Plus de quinze petites piscines ont ainsi été „découvertes”, certaines comblées de sable, d'autres envahies par la végétation ou encore servant de réservoirs d'incendie.

Une heureuse initiative des chantiers navals

Depuis plusieurs années des contacts étroits existent entre les chantiers navals de Gdańsk en Pologne et de Rijeka en Yougoslavie.

Les comités syndicaux des deux entreprises en ont profité pour signer un accord portant sur l'échange de vacanciers.

Pour la première fois cet été, un groupe de techniciens et d'ouvriers polonais ont passé leur congé sur l'Adriatique tandis que leurs collègues yougoslaves pouvaient constater que la Baltique n'est pas si froide qu'on le croit.

La 500-millionième tonne de charbon polonais sera exportée en 1969

Bon an, mal an, la Pologne exporte quelque 20 millions de tonnes de houille, soit moins de 20 % de sa production. Depuis mars 1945, plus de 455 millions de tonnes ont été vendues à des pays étrangers. Il est donc facile de calculer que dans deux ans environ on expédiera de Pologne la 500-millionième tonne d'"or noir".



Professionnels et „amateurs” contre les incendies de forêts

A un degré moindre que dans le midi de la France, mais suffisant pour que ce soit aussi un grave danger les incendies ravagent chaque été les forêts polonaises.

Aussi dès l'apparition des premières chaleurs, les services des eaux et forêts mettent en place un réseau d'alerte. Les guetteurs qui se relaient jour et nuit mettent souvent à profit les tours de triangulation du service géodésique, comme ici — sur les bords du lac de Turawa dans la voïvodie d'Opole, pittoresquement situé dans un dense massif forestier.

A la moindre alerte, les pompiers sont rapidement sur place. Mais on forme aussi de nombreuses équipes de volontaires. Sur les bords du même lac, un camp d'éclaireurs a justement réuni des jeunes garçons désireux d'acquiescer le „badge” de pompier. Vingt-cinq des candidats ont brillamment réussi aux épreuves

nullement faciles, en démontrant qu'ils savaient fort bien se servir du matériel de lutte contre les incendies (ci-contre à gauche).



LES AUTO-STOPPEURS - PREMIER APPRENTISSAGE DE LA POLOGNE

par Dominique et Robert GRELIER

M. Robert BRELIER, journaliste de cinéma a depuis quelques mois abandonné Paris pour la Pologne où il bénéficie d'une bourse du Ministère de la Culture et des Arts. Malgré ses diverses occupations se rapportant surtout aux courts-métrages et aux documentaires polonais, il a trouvé le temps de nous livrer quelques impressions sur son voyage et son séjour en Pologne. Pour ce premier article, il a été aidé par son aimable épouse — Mme Dominique GRELIER.

PRZEPRASZAM PANA... Przepraszam pana... Ces mots de langue polonaise prononcés par l'un de nos auto-stoppeurs à chaque fois qu'il se saisissait de l'enveloppe portant l'adresse où nous allions à Varsovie, ces mots nous ont ouvert les portes de la ville. A 21 heures WARSZAWA nous était annoncée par un panneau indicateur. A 22 heures nous étions arrivés à destination.

Sous une pluie diluvienne, au cours des 300 kms séparant Poznań de Varsovie, nous avions pris en voiture à trois reprises des promeneurs polonais qui faisaient de l'auto-stop. Nous ne connaissions que quelques bribes de polonais; seul le premier d'entre-eux prononçait quelques mots de français. C'était un vieux monsieur au chapeau de paille jauni, qu'une large ombrelle vert foncé protégeait de la pluie.

Un livre sous le bras, cet homme nous héla dans un village au moment où devant un poste d'essence nous nous questionnions pour savoir si nos coupons „Orbis” allaient être acceptés. Comprenant de quoi nous parlions, il s'enquit du renseignement et vint nous préciser en montrant nos carnets de bons: „Oui. Vous pouvez acheter benzina avec”. Puis il nous demanda si nous pourrions l'emmener en voiture à 20 kms de là.

La distance à effectuer fut ponctuée de mots de français de la part de notre compagnon de route: „Beaucoup de pluie; attention à gauche; c'est ça”. Arrivés au village, dont lui seul savait prononcer le nom en raison du nombre de consonnes consécutives, à notre étonnement, il sortit de sa bourse des pièces de monnaie. Devant notre refus de recevoir de l'argent, il insista en disant: „Je vais vous remettre

notre Roi Casimir... Je n'ai pas... Alors la Sirène de Varsovie. Je suis votre obligé, veuillez l'accepter”.

C'est ainsi, qu'en Pologne, nous avons connu notre première pièce de 10 zlotys.

Nos essuie-glaces devaient fonctionner sans répit; aussi ne manquions-nous pas d'être surpris en rencontrant sans arrêt le long de la route des personnes de tous âges, tête et bras nus, sans imperméable ni parapluie, et qui se promenaient à pied à des kilomètres des villages. La Pologne, le dimanche, nous apparaissait comme une interminable procession parsemée de voitures à chevaux.

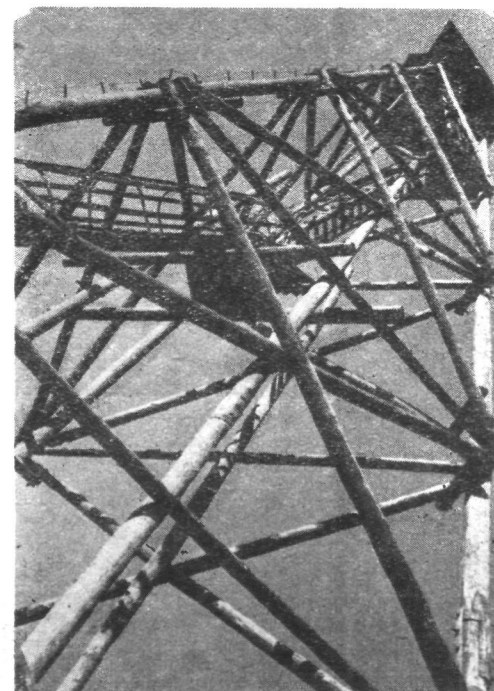
Un très jeune garçon nous fit signe d'arrêter, annonçant le nom d'une localité que seule la lecture de la carte nous fit comprendre. Il ne parla pas le long du trajet, mais joua de l'harmonica. Lui aussi voulut nous rétribuer à l'arrivée, mais nos „Nie, nie” répétés surent le convaincre de garder cet argent, et il nous quitta sur plusieurs phrases de remerciements que nous avons retrouvées plus tard.

A une centaine de kilomètres de Varsovie, une carte représentant des cercles concentriques rouge et blanc (reproduction d'un panneau „stop”) sur fond vert fut brandie par un jeune homme dont la veste dégoulinait de pluie. Le panneau signifiait que nous avions affaire à un auto-stoppeur dont la qualité se trouve officialisée. Il accourut à notre arrêt et lança un nom qu'à notre satisfaction nous comprenions: „WARSZAWA”.

Notre „Tak” le méprita sur la connaissance que nous avions de sa langue natale, car il entreprit aussitôt une longue discussion qui en resta au stade du monologue. Après les phrases habituelles en pareil cas: „Nous ne comprenons pas! Sprechen Sie Deutsch? Do You speak English?”, et comme il ne connaissait aucune autre langue que le polonais, il comprit que tout échange verbal était voué à l'échec, et se tut. Ses offres de gaufrettes renouvelées furent par contre très bien entendues.

Nous pensions qu'arrivés à Varsovie, il nous indiquerait l'endroit où l'arrêter...

(Suite au prochain numéro)





NASZ KĄCIK DLA MŁODYCH

Powrót z wakacji

— A cóż to za tłumy na stacji? A na cóż tak wszyscy czekają?

— To dzieci wracają z wakacji, spędzonych w oczyszczonym swym Kraju.

Z turkotem wjeżdżają wagony, sto główek się z okien wyłania.

— Jest Staszek! Jest Kazia! Jest Broniek! I Michaś, i Zosia, i Mania.

Wkrąg przywitania, uściski, i matki ciekawe pytają:

— Opowiedz mi Józiu o wszystkim!

— Helenko, a jak tam jest w Kraju?

— A coś ty widziała w Krakowie?

A co robi ciocia w Lublinie?

— O Śląsku nam wszystko opowiedz. O Łodzi, Warszawie i Gdyni!

Tysiąc tych pytań wciąż rośnie, aż dworzec rozbrzmiewa wkrąg echem, a dzieci szczebiocą radośnie i oczy im błyszczą uśmiechem.

— O, jakie nad morzem są plaże! — A jakie na Śląsku są lasy! Doprawdy nie mogło się marzyć, że takie będziemy mieć wczasy! — I tak nas serdecznie przyjęto, niczego nie brakło nikomu. — Dzień każdy nam mijał jak święto, i tak się czuliśmy jak w domu!

Tak dzieci wciąż mówią bez końca, i młode ich śmieją się twarze, jak gdyby przywiozły blask słońca z tych polskich gór, lasów i plaży. Jak gdyby przywiozły płat nieba w swych oczach błękitnych i jasných, i cząstkę tej drugiej ojczyzny, szerokiej, a bliskiej jak własnej!...

Wesołe żarciki

USZY ZAJĄCA

— Wiesz, chciałbym mieć takie duże uszy jak zając.

— A ja nie.

— Dlaczego? Mogłbyś dwa razy lepiej słyszeć.

— Ale musiałbym je dwa razy dłużej myć...

SKÓRKA Z JABŁUSZKA

Mama pyta Jasia:

— Czy obrateś jabłko ze skórki, jak ci kazałam?

— Tak, mamusiu.

— A gdzie jest skórka?

— Zjadłem ją, mamusiu...

KTO SILNIEJSZY

Te zawody w przeciąganiu liny stały się pasją chłopców obozu wakacyjnego w Mielnie w woj. poznańskim. Było ich tam 50 z okręgu Lille i okolic Brukseli, a liny tylko dwie, więc aby wypróbować swą zespoloną siłę, chłopcy musieli czekać na próbę w kolejce. O tych i o innych „męskich” przygodach obozu w Mielnie przeczytacie już w następnym 37 numerze „Tygodnika Polskiego”. W obszernym, bogato ilustrowanym reportażu zapoznajemy Czytelników z licznymi wrażeniami małych gości, z których większość przebywała w Polsce po raz pierwszy. Również w Poznańskim, ale o sto kilometrów na zachód od Mielna, w pięknym pałacyku we Wroniawach w pow. wolsztyńskim, przebywało na wakacjach w Polsce 50 dziewcząt z Polonii francuskiej i belgijskiej. O ich wycieczkach i poznawaniu Polski doniesiemy również w następnym, tj. 37 numerze „Tygodnika Polskiego”. Dwa zdjęcia pozwolą odnaleźć się wszystkim uczestnikom kolonii.

Nauka

francuskiego

Kraj — to znaczy *mon pays*.

Dom — to znaczy *la maison*.

Mój przyjaciel? — *mon ami*.

A piosenka? — *la chanson*.

Małe dzieci? — *les enfants*.

A ojczyzna? — *la patrie*.

Słowo wiosna? — *le printemps*.

Słowo życie? — *c'est la vie*.

Uśmiech? — znaczy *le sourire*

Jedność? — znaczy *l'unité*.

Nasza przyszłość? — *l'avenir*.

To jest pokój — *c'est la paix!*...

KĄCIK FILATELISTY

Polskie kwiaty polne — nowa seria

9 WRZEŚNIA ukaże się nowa seria znaczków polskich „Kwiaty polne”. Będzie to seria barwna, składająca się z dziewięciu sztuk. Na znaczkach przedstawiono na tle stylizowanego ornamentu roślinnego następujące kwiaty:

20 gr — bukiet kwiatów polnych (nakład 6 milionów sztuk);

40 gr — mak polny (*Papaver rhoeas* L.), chwast pospolity w Polsce, rosnący w zbożu (6 mln szt.);

60 gr — powój polny (*Convolvulus arvensis* L.), również pospolity chwast polny (5,5 mln szt.);

90 gr — fiołek trójbarwny (*Viola tricolor* L.), rośnie na polach i przydrożach, używany w lecznictwie (3,7 mln szt.);

1,15 zł — wrotycz pospolity (*Tanacetum vulgare* L.), rośnie w sąsiedztwie siedzib

ludzkich na przydrożach i śmietnikach (4 mln szt.);

2,50 zł — kakaol (*Agrostemma githago* L.), chwast zbożowy, nasiona jego zawierają silnie trujące składniki (3,4 mln szt.);

3,40 zł — świerzbica polna (*Knautia arvensis* Coult.), roślina b. pospolita w niższych partiach górskich (2,5 mln szt.);

4,50 zł — kurzyśląd polny (*Anagallis arvensis* L.), chwast ogrodowy i polny z rodziny pierwiosnkowatych (1,3 mln szt.);

7,90 zł — cykoria podróżnik (*Cichorium intybus* L.), roślina uprawiana w Polsce jako warzywna, w Europie pospolita w stanie dzikim (1,2 mln szt.).

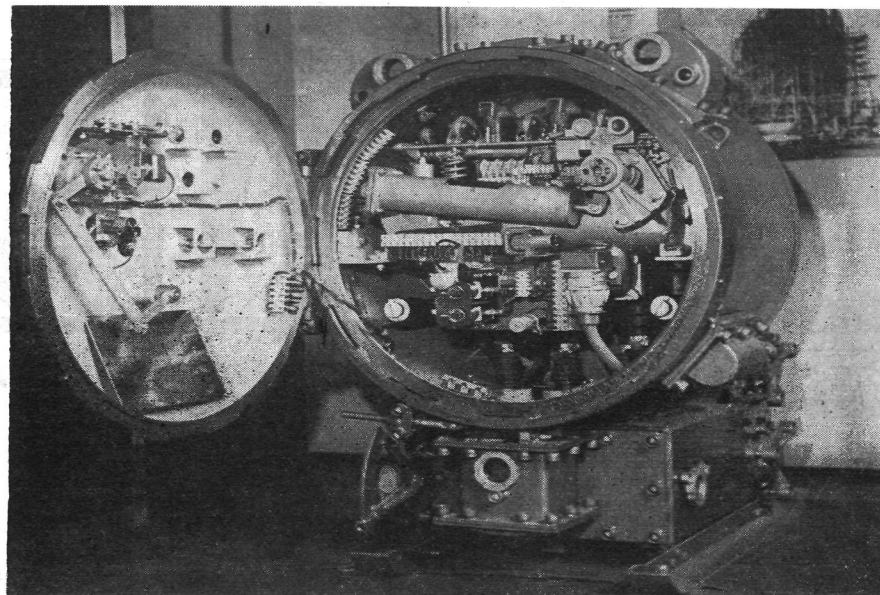
Znaczki zaprojektował art. plastyk T. Michaluk. Wydrukowano je techniką wielobarwnej rotograwiury na papierze kredowym w formacie 40,5 x 40,5 mm. (cm)



PAMIĘĆ MECHANICZNA i INNE CUDA

**P
O
L
S
K
A**
1967

POLSKIEJ M Y Ś L I TECHNICZNEJ



Imponująco wygląda rozdzielnia ognioszczelna wysokiego napięcia ROK-6

WYNALEZCZOŚĆ kroczy w siedmiomilowych butach. W Polsce rozwija się w wielu dziedzinach, szczególnie w przemyśle. W samym tylko przemyśle ciężkim w ubiegłym roku za 250 nowych, przyjętych pozycji wynalazcy otrzymali niemałą kwotę, bo 76.240.000 złotych.

Ostatnio w gmachu Ministerstwa Przemysłu Ciężkiego w Warszawie eksponowano ponad 100 poważniejszych wynalazków, wśród których kilka zasługuje na miano szlagierów technicznych.

Do nich zaliczyć należy oscylosynchroskop typ OS-102 skonstruowany przez Zakład Doświadczalny Aparatury Elektronicznej przy Zakładach Radiowych Kasprzaka w Warszawie. Ten wysokiej klasy laboratoryjny przyrząd pomiarowy służy do obserwacji zarówno szybkich i jednorazowych przebiegów elektrycznych, jak i sygnałów małej częstotliwości o niskim poziomie. Aparat wyposażony jest w precyzyjną, wysokoczułą lampę osyloskopową z dodatkowym przyspieszeniem, która daje jasny i ostry obraz.

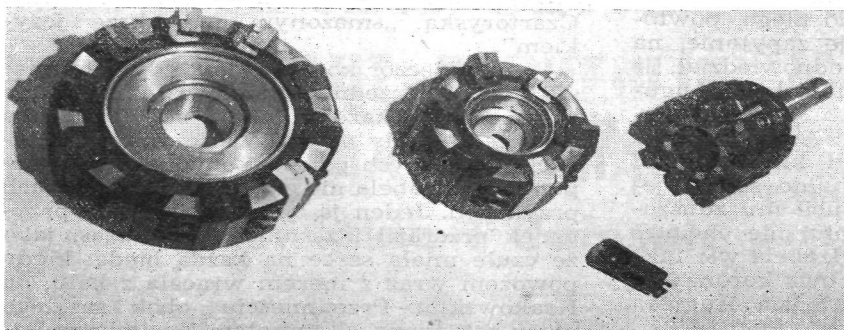
Do rewelacji należy również urządzenie do blokowania z pamięcią mechaniczną. Znajduje ono zastosowanie przy programowym sterowaniu odbiorników elektrycznych, zwłaszcza przy obrabiarkach. To nowoczesne urządzenie zapewnia powtarzanie cyklu sterowania również po chwilowym wyłączeniu napięcia, posiada bowiem ciekawą właściwość, którą fachowcy nazwali pamięcią mechaniczną.

Innym szlagierem technicznym jest kopalniana rozdzielnia ognioszczelna typ ROK-6. Autorami wynalazku są mgr inż. Andrzej Zawadzki oraz mgr inż. Antoni Wysocki z Zakładów Aparatury Rozdzielczej A-10 w Warszawie (dawna fabryka Szpotańskiego).

Aparat ten, w kształcie dużej beczki na piwo, przeznaczony jest do rozdziału energii elektrycznej oraz sterowania silnikami i transformatorami w sieciach o napięciu do 7,2 kV w pomieszczeniach kopalń gazowych (z zawartością metanu ponad 1%).

Znajduje on również zastosowanie w zakładach chemicznych, w których mogą występować gazy i pary tworzące wraz z powietrzem mieszaninę grożącą niebezpieczeństwem wybuchu.

Na wystawie przedstawiono m. in. szerokopasmowy oscylosynchroskop typ OS-102 (na zdjęciu z prawej) — wysokiej klasy przyrząd laboratoryjny do pomiarów częstotliwości w zakresie do 30 MHz



Te niepozornie wyglądające „kółeczka” to wynalazek nr 50 966. Wkładka i coś dla hutników: nadstawka (ta najmniejsza) z zamontowanym wymiennym ostrzem nadaje się do frezki izotermicznej do odlewania zarek o różnej średnicy głowic. Wynalazek inżynierów z Poznania stali uspokojonej. Patent AGH

Kopalniana rozdzielnia ognioszczelna typ ROK-6 uzyskała liczne patenty zagraniczne. Jest ona znacznie lżejsza od podobnych francuskich, bezpieczna w eksploatacji, łatwa w montażu i niezawodna w działaniu. Jej nowoczesna konstrukcja i niska cena sprawiają, że Polska Centrala Handlu Zagranicznego „Elektrim” otrzymuje na nią liczne zamówienia.

Na wystawie pokazano również nową polską metodę lutowego spawania miedzi i stopów oraz nowy sposób lekkiego pokrywania hal przemysłowych powłoką z blachy falistej. Tak pokryto już dachy hal w Nowej Hucie i w Olkuszku. Autorem projektu jest mgr inż. Andrzej Cygan z „Biprostalu” w Krakowie.

Ciekawym wynalazkiem są także termoindykatory — specjalne, kolorowe kredki przeznaczone do mierzenia temperatury metali.

Hutników na wystawie interesowała nadstawka izotermiczna do odlewania stali uspokojonej. Na czym polega ten wynalazek zarejestrowany w Urzędzie Patentowym PRL pod numerem 50675?

Po prostu jama wsadowa jest płytsza i o wiele szersza niż w dotychczas stosowanych nadstawkach (patrz zdjęcie). Dzięki temu znacznie poprawia się uzysk stali uspokojonej, a tzw. nadlew

wierze, się zmniejsza. Dodatkowym plusem jest lekka konstrukcja i krucha konsystencja szamotowej wykładziny, co pozwala łatwo ustawić ten zestaw oraz również łatwo go zdemontować.

Autorami patentu jest zespół naukowców z Akademią Górniczo-Hutniczą w Krakowie pod kierunkiem prof. dr inż. Wacława Krakowiec i doc. dr inż. Tadeusza Mazanka.

Trudno wymienić wszystkie rewelacyjne wynalazki, jednak nie można pominąć wynalazku nr 50966 — tzw. zestawu głowic do czołowego frezowania płaszczyzn.

Wynalazek jest bardzo prosty i niepozorny. Niewielkie wkładki można wmontować na głowice o różnych średnicach. Wkładki te posiadają wymienne ostrza, które są wykonane z wysokogatunkowej stali narzędziowej lub węglików spiekanych. Wkładki z ostrzami ustawione są w głowicy w ten sposób, że cały proces frezowania odbywa się za jednym obrotem głowicy.

Jest to patent nr 50966, a jego właścicielami są dwaj inżynierowie z Zakładów H. Cegielskiego w Poznaniu — Mikołaj Kujawiak i Zenon Łakomy.

W. K.

„MISS COUTURE” A. HUDYKA

Magazyn: 55, rue de Bouvines LILLE (Fives)

Siedziba: 199, rue de Paris LILLE

Telefon: 53-10-03

Konfekcja męska,
damska i dziecięca

■ suknie ■ spódnice

■ swetry ■ bluzki

■ popeliny ■ tergal

PIERZE • WSYPY • POSZWY • DAMASY

Ceny niskie

Na żądanie wysyłamy próbki



IZABELA

7

— *Mości książę, proszę waszej książęcej mości, imieniem całego naszego województwa, ażebyś nam nominował za króla i pana Jaśnie Oświeconego Książęcia, Imci wojewodę ruskiego, od którego nasze województwo ruskie wielkich doznaje dobrodziejstw.*

Zbladł ruski wojewoda, siedzący na siwym mierzynku. Uchylił kapelusza i rzekł grzecznie szlachcicowi:

— *Dziękuję waszmość panu.*

Prymas, zwróciwszy się do niego, powtórzył, jakby nigdy nic, swoje zapytanie, na które August Czartoryski odpowiedział, iż chce mieć za króla i pana Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Izabela wie, że dziadek August Stasia Augusta nie lubi, że przed kilku dniami przyparł w napadzie gniewu do ściany jej małżonka, a swego syna, rzucił mu zduszonym głosem: „Widzisz durniu, nie chciałeś korony i tamten ją dostał!” Izabela wie także, iż — w dużej mierze — owa korona dostała się Stasiowi dzięki dziadzia Augusta pieniądzom.

Bo o tym, co tam gadają o carowej Katarzynie, Izabela nie chce wiedzieć.

A jak prześlicznie wyglądał Poniatowski, gdy po odprawionej w Kolegiacie koronacji powracał do zamku w wielkiej paradzie. Miał na sobie kamizelkę opiętą i takie pluderki, białe atłasowe pończochy na nogach i trzewiki białe. Na plecach paludament aksamitny ponsowy, haftowany złotem, podszyty gronostajami (niósł go za nim jeden z senatorów), szyję zdobiły wielkie kryzy z przednich koronek brabanckich: gadano, że to był strój hiszpański. Błyszczała korona na jego pięknej głowie, w jednej ręce dzierżył berło, w drugiej złote jabłko.

A potem odbyło się coś, za co pani Czartoryska po wsze czasy żyć będzie dla królewskiego kuzynka wdzięczność bez granic — oto po koronacji, wieczorem, wydawał król na zamku bal z maskami „dla panów i dla miasta”. Na tymże balu ona, Izabela, głuportas, dzikulec, ospowate dziecko „rozsypane w edukacji”, weszła w wielki świat i podbiła ów świat. — Śmiał on się do niej wśród kolorowych lampionów zamkowego parku. Tańczyła tam zapewne menueta i angleza. Nie „submitowała się” jak inne w tańcu, wirowała wesoło, bo dobrze jej było w masce, zakrywającej niejedną usterkę cery, podkreślającą za to czerwien wydatnych warg i olśniewającą biel zębów. Tańczono pod namiotami, gdzie rozpylone „wonności cypryjskie” przypominały rajski ogród.

Nowo upieczony monarcha zachwycał jako tancerz w menuecie, gdyż uczył go tego tańca sam jego twórca, Marcel.

— *Jakże ci się podoba Izabela Flemminżanka?* — spytał może dawny Staś Izabeli Lubomirskiej.

Odrzekła, być może: „*Pas mal*” i jemu, gdyż wiadomo, że na owo pytanie, zadawane jej na tym balu, odpowiadała, nie bez zdziwienia — nawet ona! — „*Pas mal*”!

TAM TO IZABELA poznała śmiertelną swoją nieprzyjaciółkę, córkę niedawno zmarłego Brühla, Amelię Mniszchową z Dukli. Adam Kazimierz opowiadał kiedyś żonie, jak to pani Mniszchowa chciała zostać królową, ba, Adam Kazimierz (ileż on wiedział!) powtórzył słowo w słowo list Marii Teresy do córek w tej sprawie (sekretarz austriackiej królowej był przyjacielem Czartoryskiego). A że Izabela pamięć ma nadzwyczajną, teraz tedy, odpoczywając na perskim kobiercu pod lampionami, ochładzając twarz wachlarzem, który podała jej usłudze Mniszchowa, widzi

JADWIGA DACKIEWICZ

w zimnych oczach damy dukielskiej wyrazi znamienne, przez cesarżową kreślone:

„La Mniszech... ciągle jeszcze strzela lekomyślnie głupstwa. Mówiłam z nią dwa razy... odpowiadała pokornie, że z rozkoszą poprze nasze zamiary, że w Polsce bez wojska i pieniędzy nic zrobić nie można, że raczej da się zabić, niż ujrzy na tronie kogoś z Czartoryskich...”

Teraz jednak — i ona — komplementuje Czartoryską „smażonym w cukrze językiem”.

W ów wieczór koronacyjny, gdy całe miasto wraz z przedmieściami roziluminowano pięknie, a w każdym oknie stało po kilka świeczek — gdy nawet świerczynę na festonach, zdobiących pałace, pomalowano grysypanem — Izabela nie chce myśleć o rzeczach przykrych. Jeden ją tylko warszawski przypadek przeraził i zasmucił podówczas, jako że czuła miała serce na każdą biedę: kiedy powozem wraz z mężem wracała z balu, na Krakowskim Przedmieściu obok saskiego placu ustawiono — sumptem Kazimierza Poniatowskiego, królewskiego brata, któremu nie przydał niegdyś chwały pojedynk z Taria — bramę triumfalną, iluminowaną, bogatą. Na owej bramie zasadzono antały wina pod rzeźbą orła, z którego szponów niby to wino ciekło. Na głowie orła stała w formie korony donica, napełniona palącą się smołą. Pospółstwo, chciwie trunku, wspinało się w górę, podsadzając się wzajem, by móc szklanice podstawić odpowiednio. Wielki wokół panował hałas i zamieszanie.

Wtem usłyszała Izabela krzyk przeraźliwy: — „*Jezus Maria!*”

— „*Co to?*” — wyszeptła trwoźnie, mając pełne uszy menueta.

Pospółstwo, wdzierające się na bramę, gwoli zdobyciu wina, obaliło orła i koronę. Cieknąca, paląca się smoła oblewała ludziom twarze i ręce, niektórym — zamiast wina — dostała się do gardła. Rozdzierające wycia przesywały powietrze.

Izabela ukryła twarz na ramionach sennego małżonka, który nie gustując w nieestetycznych widokach, przymknął oczy z wyrazem drwiny i niesmaku. W tym to właśnie czasie opadły go nastroje orientalne. Po całych dniach potrafił studiować księgi Wschodu, dzieła Viscontiego, de Sacy, Brahma, sprowadził Turczynka do obsługi fajczarni, a także do podawania i zapalania fajek swemu panu i zaproszonym gościom. Zapytywał też Adam w liście pana Pangues, członka Francuskiej Akademii, czy „nikt wreszcie nie przełoży na ludzki język pieśni o kruk, śpiewanej po Serajach”.

Jechali dalej powozem, o którym pisał Trembecki, że... „wszystkie zgasił, cały złotem błyska, siedzi Kupid na dyszlu i grot z łuku ciska”.

Izabela, „do kochania czując tęskność niezwyczajną”, rozamorowała się w królu.

„Zdarzyło się, że wszedłszy zniemacka do pokoju, zastałam ją, kreślącą moją cyfrę, na posypanym pudrem zwierciadle” — pochwalił się nam w pamiętniku „władca wszystkich żon”, jak go nazwie kiedyś Casanova. „Pisała: S.A.R...”

Zmieszła się, powiedziała do mnie: „Mógłbyś mnie trochę kochać, choćby przez wzajemność”!

A mąż? — „Tak przyzwyczał się — objaśni nas dalej król w „Pamiętnikach” — widzieć w stolniku najlepszego przyjaciela swej żony, wtenczas niezupełnie jeszcze dwudziestoletniej, że ją często wieczorami sam woził do zamku i posyłał na górę do króla. Przedtem pytał, czy nie ma tam księż-

ny marszałkowej (Izabeli Lubomirskiej), której nienawidziła. Jeśli nie, odjeżdżał... Nad miarę przyjaźni nic się tam nie działo” — dodaje szybko Poniatowski, rycerski, jak zwykle.

Izabela wyzna później nieco więcej: „Ze wszystkich ludzi w moim otoczeniu kuzynek, król Staś, był najtroskliwszy. Nie ulegałam mu wcale, ale miałam ogromną przyjemność, odbijając go najpiękniejszej kobiecie Warszawy”.

W ROKU 1768 rodzi córkę Marię — późniejszą autorkę „Malwiny”, pierwszej powieści polskiej.

I sama nie wie za dobrze, jak to się stało, że tak lekko przyjęła oświadczenie króla, iż będzie się starał o rękę Krystyny Austriackiej, córki Marii Teresy. Kuzynek w ogóle stał się przedsiębiorczy ostatnio, zadarł nawet z wujem Augustem Czartoryskim, któremu, jak wiadomo, niejedno zawdzięczał w czasie elekcji. Zażądał od Czartoryskiego mianowicie, by ustąpił mu regiment Gwardii Konnej na rzecz brata, Kazimierza Poniatowskiego. Przypomniał przy tym Augustowi niedwuznacznie, że to jego własny, królewski ojciec, Stanisław Poniatowski, skojarzył małżeństwo Augusta z Zofią, wdową po Denhoffie, co przecie stało się dla Czartoryskich podwaliną fortuny.

Teraz znowu chciał się ponoć wylamać z poddaństwa wobec Katarzyny Drugiej — stąd owe mariażowe projekty, którym rodzina Izabelki wcale przyklaskiwała. Izabela wie, że król Staś ma w Wiedniu swego przyjaciela, ambasadora Hiszpanii, który rozpoczął już z Marią Teresą odpowiednie negocjacje.

Młoda Czartoryska siedzi w kątku komnaty, parfilując zawzięcie — owo szarpanie szmatek podobno modne w Trianon — i myśli intensywnie o wszystkim. Myśli, póki nie przysiądzie się na kanapkę markiz Conflans, któremu uparcie odmawia pocałunku, lub Ksawery Braniczki, ten — choć głupi, warchoł, awanturnik, łotrosz i królewski zdrajca — przecie także ją prosi o miłość. Jak zresztą tylu innych.

Spośród tych innych Izabela największy ma kłopot z Repninem, konsyliarzem rosyjskiego ambasadora. Kipi w nim to uczucie, zda się, że rad by ją pożreć oczyma. Dziki. Ale rodzina szepce: „Bądź mu miła, on wiele może dla kraju, dla nas”. Izabela nie może uwierzyć, że powiedział jakoby biskupom w sejmie „Paszoł won!”. Ponoć Polaków traktuje z góry i obrzydliwie. Ponoć na protest posła witebskiego, Bohomolca, wykrzyknął w odpowiedzi: — „Pan Bohomolec! Poszedł ty precz na swoje miejsce!”

Tymczasem — za parę dni — wpada do niej król. Zropaczony. Oto ambasador carycy, Golicyn, zaprosił niedawno do siebie na kolację osobę związaną z ambasadorem hiszpańskim w Wiedniu, i mocno zachęcając do spełniania kielichów, wypytywał troskliwe, czemu to wiedeńscy kurierzy tak często odwiedzają ostatnio polskiego króla. Osoba ta po pijanemu wyznała wszystko.

Nie oszczędza ówczesnie plotka Izabeli. Surowy dla niej i króla pamiętnikarz owych czasów stwierdza, że Stanisław August „pojechał do niej, wystawiając jej okropny stan swój, płacząc przed nią, że musi poświęcić szczęśliwość swoją, którą ma w miłości jej, ale że nie widzi ratunku żadnego, by się został na tronie, tylko przez nią, prosił, aby ona traktowała z księciem Repninem, że jeżeli chce mieć jej wzajemność, i powolność, by uratował króla i uniewinnił go, zwałając całe te negocjacje na wujów jego Czartoryskich, niby działających bez jego wiedzy”.

Repnin zakochany jest w niej naprawdę, wie o tym Izabela. A tu w kraju głucho od nienawiści do Rosji. Głupio jej, gdy na przedstawieniu siedzi z Repninem sama w pustej — dla demonstracji — teatralnej sali. Słyszy coś o wywiezieniu do Rosji senatorów, do którego to wywiezienia ponoć sama przyłożyła rękę. Kiedy? Jak?

Rady od serca

DROGA PANI ANNO!

Mam 29 lat, przed czterema laty ożeniłem się z kobietą starszą ode mnie o 13 lat. To dziwne, prawda, i rzadko spotykane. A jednak żyjemy z sobą bardzo dobrze, mam najlepszą żonę, jaką sobie mogłem wymarzyć. Dom nasz jest przystanią ciepła rodzinnego i szczęścia.

Piszę jest, ale właściwie był. Bo oto pół roku wstecz wróciła po dziesięcioletniej nieobecności moja matka. I zaczęła się. Matka jest oburzona na moją żonę, że śmiała wyjść za mnie, że zmarnowała mi życie. A przecież ja jestem najszczęśliwszy właśnie przy żonie i nigdy od niej nie odejdę. Matka chce bym się rozwiódł. Nigdy!

Matka mieszka z nami, bo nie ma mieszkania. Co robić? Dojdzie do tego, że ją znienawidzę.

Oboje z żoną pracujemy. Mimo że ona ma dużo roboty, w domu zawsze wszystko jest na czas zrobione, a dla mnie zawsze jest uśmiech i dobre słowo, nawet teraz, kiedy ze strony mojej matki spotykają ją tylko przykrości.

Jak przekonać matkę, żeby zostawiła nas w spokoju, żeby nie mąciła naszego szczęścia? Tak mało jest dobrych szczęśliwych małżeństw, czy własna matka ma niszczyć jedno z nich?

Pragnę jeszcze dodać, że moja żona jest bardzo przyzwoita, usposobienie ma tak pogodne i młode, że ja naprawdę nigdy nie odczuwam różnicy tych 13 lat.

NIESZCZĘŚLIWY

SZANOWNY PANIE!

Najważniejszą sprawą, wydaje mi się, jest znalezienie dla matki jakiegoś mieszkania poza waszym domem. Sądząc po pana wieku, matka nie jest starszką i może spokojnie mieszkać sama. Nawet gdyby to was miało kosztować, musicie zdecydować się na ten krok, bo w przeciwnym wypadku, małżeństwo wasze rzeczywiście będzie poważnie zagrożone. Gdy matka zamieszka osobno, kontakty będą rzadsze i mniej okazji do przykrości.

Uważam, że powinien pan jednocześnie z matką porozmawiać kategorycznie i stanowczo. Najlepiej pod nieobecność żony. Może matka wreszcie zdoła zrozumieć, że jest pan już dorosły i ma prawo urządzić swoje życie według swojego gustu. Tym bardziej, że jak wynika z listu, matka przez dziesięć lat nie interesowała się pana losem, skąd więc teraz taka troska.

Nie powinien pan ustępować ze swojego stanowiska, mam nadzieję, że matka wkrótce zrozumie bezsens swoich działań.

ANNA

DROGA PANI ANNO!

Zdziwił pania mój list, bo jeszcze nie pisałem do pani nigdy nikt w takiej sprawie. Mam osiemnaście lat, straciłem już dwa lata nauki — po prostu dlatego, że mi się nie chciało ani uczyć, ani chodzić do szkoły. Przyrzekam sobie za każdym razem, że jak zacznie się nowy rok szkolny zabiorę się poważnie do pracy i nic z tego nie wychodzi. Rodziców mam dobrych i nie mogę na nich narzekać. Jestem człowiekiem bez żadnej wartości, nie mam woli, ambicji, jestem leniwy. Sprawę sobie z tego świetnie zdaję, a jednak nie umiem temu zaradzić, nawet zresztą nie próbuję.

Profesorowie twierdzą, że jestem nieprzeciętnie zdolny, inteligentny, ale to wszystko bzdura. Jestem zwykły osioł. Gdyby tak było jak mówią, inaczej bym chyba postępował. Zwracam się do pani z prośbą o radę, sprawa jest pilna, bo znowu zacznie się nowy rok szkolny. Tylko proszę, bez żadnych nauk, gdyż one nie pomogą.

ANDRZEJ

MILY ANDRZEJU!

Nie mam zamiaru dawać ci nauk. Byłoby to po prostu śmieszne, żeby osiemnastoletniemu człowiekowi tłumaczyć, że powinien się uczyć i starać się do czegoś dojść w życiu.

Przed wszystkim nie wierzę w ani jedno Twoje słowo. Co to znaczy nie mogę się przemóc? Co to znaczy, nie mogę się zmusić do nauki? To chyba żarty.

Zresztą gdzie nie jest powiedziane, że każdy człowiek musi zrobić maturę i skończyć studia. Możesz iść do pracy. Nauczyć się zawodu, usamodzielić, a gdy kiedyś zamądrzejesz, zrobisz maturę eksternistycznie.

Myślę również, że za dobrze ci jest w domu, za łagodnych masz rodziców i dlatego tak to wszystko wygląda. Ja na ich miejscu ani chwili bym się nie wahała. Przystałabym cię utrzymywać, zmusiałabym do pracy. Praca to świetna szkoła dla takich typów jak ty. Spróbuj, może to ci się bardziej spodoba. Jesteś po prostu bardzo jeszcze dziecinny i pozujeś na oryginalność. A to dzisiaj nikomu już nie imponuje. Wszyscy wiedzą, że żeby we współczesnych czasach stać się kimś, trzeba się uczyć.

Mam nadzieję, że zamądrzejesz, staniesz się dorosły i sam się zaczniesz z siebie śmiać.

ANNA

B. DOWOJNA-BIENAIME

TEUMACZKA
PRZYSIĘGŁA
PRZY WYŻSZYCH
SĄDACH W PARYŻU

Tłumaczenia urzędowe
ważne w całej Francji

23, quai de la Tournelle
PARIS (5e)

TELEFON: ODEon 41-17
METRO: PONT-MARIE

PRZEDSZKOLANKA

Kierowniczą jednego z warszawskich przedszkoli jest sympatyczna blondynka p. Teresa Zuk. Pracuje ona w tym typowo kobiecym zawodzie już parę lat. Obecnie kończy Studium Nauczycielskie, które da jej w przyszłości również prawo nauczania dzieci starszych. Jednak p. Teresa nie chce zrezygnować z dotychczasowego zajęcia. Praca z maluchami daje jej największe zadowolenie. Uważa, że zawód przedszkolanki jest trudny, odpowiedzialny, ale i zarazem pasjonujący.

Przy rozmaitych okazjach p. Teresa organizuje w przedszkolu spotkania dzieci z ludźmi różnych zawodów. Maluchy najbardziej lubią spotkanie z najbardziej lubią rozmawiać z nimi i żartować. Urzeka ich mundur.

Ćwiczą razem musztwę, przyzierają czapki i pasy żołnierskie. Również czapki górników z pięknymi pióropusami podobają się przedszkolankom.

Obok zabawy przedszkole nr 212 na Żoliborzu, podobnie jak i inne placówki tego rodzaju w Kraju, dużo uwagi przywiązuje do poprawy postawy dzieci poprzez gry ruchowe.

Pani Teresa cieszy się dużą sympatią u swoich małych wychowanków. Bardzo lubią swoją ładną panią kierowniczkę. Ma u nich autorytet.

Dzieci w przedszkolu uczą się współżyć z rówieśnikami. Pomaga im w tym i opiekuje się nimi ich kierowniczka p. Teresa Zuk.



„Au tailleur de l'Alouette“

HERBAUT-DENNEULIN

UBRANIA NA MIARĘ

męskie i damskie

Niedościgniona jakość

Rewelacyjne ceny

CENTRALA
62, rue de l'Alouette
ROUBAIX

SKLEPY

PARIS—130, rue Lafayette

LILLE—27, rue des Ponts
de Comines

DOUAI—65, rue de Paris

LENS—20, rue de la Paix

DUNKERQUE—2, rue de
Soubise

Michalinka ma głos

Mamusia z synkiem

Korzystając z pogody i wolnego popołudnia, poszłam wczoraj do parku i usiadłam na ławce z książką. Po chwili ujrzałam idącą w moją stronę pewną kobietę z małym chłopczkiem.

— Jacquot! — zwróciła się do dziecka — usiądź na ławeczce, jesteś zmęczony.

— Ja nie jestem zmęczony.

— Ale siadajmy, bo mamusię nogi boją.

Usiedli oboje obok mnie.

— Jacquot, nie garb się. Wyprostuj plecy. Chcesz, aby ci urósł taki garb jak u dziadzia?

Jacquot się wyprostował.

— Włóż płaszcz, dziecino, bo jest wiatr.

— Ale mnie jest bardzo ciepło — bronił się chłopczyk.

— Włóż płaszcz, kochanie. Chcesz się przeziębic i zachorować, aby mamusia miała potem smutnienie?

Jacquot nie chciał, aby mamusia miała smutnienie i włożył płaszcz. A mamusia wyjęła z torby dużą gruszkę.

— Masz, zjedz syneczku.

— Nie mogę.

— Zjedz, bo to zdrowo. W owocach są witaminki. Z witaminek się rośnie.

Chłopczyk przełknął z trudem owoc, a potem, ujrawszy z daleka grupkę dzieci pobiegł do nich, by się bawić.

— Wróć, Jacquot! — krzyknęła mamusia. — Cóż to, chcesz się zadawać z obcymi chłopakami? Aby cię pobili? Wróć zaraz do mamusi.

— Ja tylko troszeczkę pobiegam po parku.

— Zgrzejesz się, dziecino, zmęczysz. Popatrz, jakie masz spocone czoło.

Jacquot westchnął. Potem się pochylił i zaczął się bawić za ławką w piasku.

— Co ty robisz?! W piasku się grze-

biesz? Pobrudzisz ubranko. Mamusia nie może wciąć tylko prać twoich spodenek.

Dzieciak rozejrzał się bezradnie i włożył palec do ust.

— Wyjmij brudne palce z buzi! Kto to widział, taki duży chłopczyk!

— Duży chłopczyk już nie wiedział co ze sobą robić. Zaczął skakać dokoła ławki.

— Nie skacz. Upadniesz i rozbijesz sobie kolano! Siadaj przy mamusi.

— Kup mi lody — powiedział Jacquot.

— Lody? Żeby cię gardziółko bolało? Żeby potem doktora wołać?

— To daj mi cukierka.

— Przed kolacją cukierka? Nie będziesz miał apetytu do jedzenia. A mamusia ci przygotowała kluseczki z jajkiem. Co? Nie lubisz kluseczek z jajkiem?

Widocznie Jacquot nie przepadał za kluseczkami z jajkiem, bo nagle głośno się rozplakał.

Dlaczego płaczesz? — przeraziła się mamusia, a potem zwróciła się do mnie.

— Widziała pani coś takiego? Co za nerwowe dziecko. Zupełnie wdał się w ojca.

Jacquot płakał coraz to głośniej, więc mamusia przytuliła go do siebie i zaczęła pocieszać.

— Jak przestaniesz beczeć, to mamusia jutro zrobi ci miłą niespodziankę.

— Jaka? Pójdiesz z mną do kina?

— Nie do kina. Ale przyrzekam ci, że całe jutrzejsze popołudnie spędzisz znowu z mamusią w parku.

Słyszając te słowa, ja sama miałam ochotę się rozbeczeć. A Jacquot zaczął wyc w niebogłoso.

— Co za nerwowe dziecko — powtórzyła bezradnie mamusia. — Wykapany ojciec. Mój Boże, dlaczego on nie wdał się we mnie, tylko w mego męża?!...

MICHALINKA

RADIOODBIORNIKI — TELEWIZORY

◆ Lodówki, maszyny do prania i inne artykuły

gospodarstwa domowego ◆

LENG-PICARD ET C-ie

16, Place de la Liberté, 423, rue de Lannoy

Telefony: 73.39.42 73.29.47

ROUBAIX (Nord)



POLONIA AMERYKAŃSKA a GRANICA NA ODRZE I NYSIE

Profesor Walter Drzewieniecki wyklada na uniwersytecie w Buffalo w Stanach Zjednoczonych. Widzimy go na zdjęciu (w środku) podczas zebrania w Polskiej Akademii Nauk w Warszawie w oddziale zajmującym się zagadnieniami Polonii zagranicznej. Przybył on do Polski na zaproszenie Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich i Północnych. Profesor Drzewieniecki jest historykiem, specjalizuje się w problematyce polsko-niemieckiej i jest w tej dziedzinie jednym z najlepszych znawców w USA oraz autorem kilku prac na ten temat w języku angielskim. W czasie pobytu w Polsce wygłosił on referaty: w Instytucie Zachodnim w Poznaniu, z którym zresz-

ta od kilku lat utrzymuje naukowe kontakty, oraz podczas wspomnianego wyżej zebrania w Warszawie. Tytuł jego ciekawego referatu brzmiał „POLONIA AMERYKAŃSKA, A SPRAWA GRANICY NA ODRZE I NYSIE”. Profesor przedstawił w nim nie tylko stanowisko Polonii, w zdecydowanej większości pozytywne w odniesieniu do nienaruszalności polskich granic, ale także dał obraz akcji propagandowej amerykańskich Niemców w USA powiązanych z bońskimi rewizjonistami. Po referacie wygłoszonym w Warszawie wywiązała się interesująca dyskusja, w której brali udział naukowcy, działacze TRZZ i dziennikarze interesujący się problematyką polonijną.

DO LINII GOTÓW

W BOGATEJ LITERATURZE wspomnieniowej Polaków z okresu II wojny zawarty jest obraz wojny i życia wojskowego widziany przede wszystkim oczyma oficerów różnych stopni i szczebla dowodzenia. Ta książka jest inna. „Do Linii Gotów” nie jest ani pamiętnikiem, ani autobiografią, ani reportażem. Autor — żołnierz II Korpusu wprowadził fikcyjną postać bohatera Łęka, dając przy tym do zrozumienia, że to on sam. „Do Linii Gotów” jest zbiorem wymyślonych gawęd, stanowiących równocześnie dokument historyczny. Pokazani są w nich żołnierze II Korpusu, widziani oczyma kaprała, a później plutonowego. Bo Henryk Drażkiewicz był podoficerem i jako taki brał udział w bojo-

wej drodze II Korpusu, brał udział w jego marszach, postojach i bitwach. Jest to więc autentyczny żołnierski z doświadczenia, często humorystyczny, ale zawsze w ciepłych słowach opisywanymi wydarzeniami. Jest w książce zaduma nad żołnierskim losem i beznadziejną włościwą po krajach Bliskiego Wschodu, i są walki we Włoszech.

Słyszał Łęk o Rubikonie, który w starożytności przekroczył Cezar. I on, polski żołnierz, chciał sobie tę rzekę przekroczyć. Nie tak zwykle, ale dostojnie, z namaszczeniem, w relacji wyglądało to następująco: „Ale rzeczka była mała, w wodzie leżał poobtukiwany emalowany nocnik, a dalej chlapała się gromadka kacząt, w dodatku spoza chatup nadrzecznych osiedli ostrzeliwali się pojedynczy niemieccy żołnierze, tak że cały nastrój był zepsuty i Łęk po prostu przebiegł rzeczkę po kilku kamieniach i wpadł między zabudowania”.

Autor nie daje szczegółowych opisów bitew, gdyż to jest sprawa historyków i kronikarzy. Pokazuje natomiast realizm żołnierskiego życia: na piaskach Iranu, w Palestynie i w słonecznej Italii. Są w książce oczywiście i walki pod Ankoną i na Linii Gotów, na Monte Cassino i nad Senio, pod Bolonią. Czyta się o nich ze wzruszeniem i uśmiechem zarazem.

*) Henryk Drażkiewicz: „Do Linii Gotów”. Wydawnictwo Obrony Narodowej, Warszawa 1967. Wydanie I. Nakład 10 tys. egz. Cena zł 20,—

WIADOMOŚCI z różnych ośrodków POLONII w ŚWIECIE

DOKUMENTY DOTYCZĄCE HISTORII POLONII

Komitet historyczny Organizacji i Towarzystw Polskich (polonijnych) oraz Departament Historyczny Uniwersytetu w Pittsburgu zorganizowały seminarium historyczne. Obrady poświęcone były specjalnie organizacji zabezpieczenia dokumentów dotyczących działalności i historii emigracji polskiej w Zachodniej Pensylwanii. W wyniku tego seminarium Uniwersytet „Pitt” podjął się kompletowania i zabezpieczenia dokumentów. Seminarium wystosowało apel do Polonii i innych narodowości słowiańskich o nadsyłanie wszelkich dokumentów dotyczących działalności emigracji i Polonii na terenie Pensylwanii pod adresem: Archives of Industrial Society — University of Pittsburgh. Catedral of Learning Pittsburgh. Pa. 15213.

ZABAWA W WOJSKO I WE WŁADZĘ

Kanadyjski „Związkowiec” publikuje wrażenia Aleksandra Grobickiego z pobytu w Londynie, w środowisku tamtejszej emigracji polskiej. Grobicki, publicysta polonijno-kanadyjski, autor wspomnień wojennych „Błyski wojenne” oraz zbioru reportaży z Południowej Ameryki, znany jest wśród Polonii kanadyjskiej jako wyczułony na sprawy Polonii, błyskotliwy i cięty publicysta. Oto obrazek wyjęty z jego reportażu o „polskim Londynie” — tym żyjącym we wrogiej izolacji w stosunku do ojczystego kraju:

„Ognisko. Ośrodek polskiego życia towarzyskiego, kulinarnego i organizacyjnego — czyli pepepek londyńskiej Polonii.

Uklony. Poklony. Ucałowania rącek. Pan pułkownik, pan generał, pan minister, pan profesor. Siwi i tyśi. Nie bardzo już mocarnie trzymający się na nogach staruszkowie. Ale w dożywotnim pogotowiu trwający. I panie, niegdyś sławne piękności, wpływowe żony, podziwiane, Kochane — a dziś staruszki usiłujące retuszem odmładzać historie.

W kacie były szef sztabu w gronie zwawych 70-łatków omawia narodową strategię. Pan generał kiwa trzęsącą się rączką. Były adiutant sławnego niegdyś generała od godziny już tępym wzrokiem wpatruje się w kawę. Nieśmiertelny Lawiński prowadzi przy stoliku aktorski monolog.

Wśród tej historii wujają się młode, dorodne kelnerki. Studentki z Polki. Oczywiście już w „mimi” acz nie tak krótkim, jakie nosi Krystyna Podlewska, wspaniała Wawrzonek z „Pięknej Lucyndy”, pataszująca właśnie befsztyk przy sąsiednim stoliku. Jest młodzież. Ładne dziewczyny, przystojni chłopcy. Za chwilę zjedzą na dół na zabawę. Czy zdają sobie sprawę z tego, kto siedzi obok przy stoliku (generał X), kogo niechcąc potracili (pułkownik Z), kto tam sący piwko przy bufecie (minister Y). Ludzie, którzy ćwierć wieku temu byli znani, byli bohaterami, eleganckimi sztabowcami, nieomal panami życia i śmierci... Nawet ich nazwiska tej młodzieży już

dzisiaj nie mówią. Czas biegnie naprzód. Nasza historia stoi w miejscu.

Pieczeń wołowa na dziko z buraczkami, sarna w śmietanie, kaczką pieczoną z jabłkami, pstrąg z wody, flaczki. A do tego prawdziwe, żywieckie piwko. Uszy się trzęsa, ślinka cieknie. A obok przy stoliku ktoś proponuje siwiutkiemu, w kraciastą marynareczkę ubranemu staruszkowi: — Panie pułkowniku, musi pan do mnie przyjść. Mój synek ma generalską czapkę i dwa karabiny maszynowe. Zabawi się pan z nim. I oto nagle, przy tej pieczeni, nad kuflem żywieckiego odkrywam istotę londyńskiej emigracji. Zabawa! Zabawa w wojsko, w rządy, we władzę. Zabawa, którą można jeszcze prowadzić między sobą, między staruszkami albo z małymi dziećmi. Bo już z nikim więcej.”

ZGON WYBITNEGO PROFESORA

W Kanadzie zmarł profesor dr Antoni Fidler, były dziekan wydziału medycznego Uniwersytetu w Ottawie. Należał on do najbardziej znanych i cenionych pracowników nauki i lekarzy polonijnych w Kanadzie. Prof. Fidler był przed 1939 rokiem docentem na Uniwersytecie Warszawskim. W czasie wojny był profesorem Uniwersytetu w Edynburgu w Szkocji. Po wojnie w roku 1947 na zaproszenie rządu kanadyjskiego objął katedrę w Ottawie. Żona i córki zmarłego mieszkają w Polsce.

DWAJ POLONIJNI ARTYŚCI MALARZE

W sali rektoratu Uniwersytetu Paraskiego w Kurytybie otwarto wystawę obrazów współczesnego malarstwa brazylijskiego Stanu Parana. Wśród 36 najbardziej uznanych malarzy tego stanu znalazło się dwóch artystów polskiego pochodzenia: inż. Janusz Ficiński oraz Marian Rubiński. Wystawione przez nich obrazy zyskały wysoką ocenę prasy brazylijskiej.

ADELAJDZKI KLUB SPORTOWY „POLONIA”

Klub Sportowy „Polonia” w Adelaide zreszta cztery drużyny piłkarskie oraz cztery drużyny szkolne. Drużyny KS „Polonia” wysuwają się we wszystkich klasach do czołówek piłkarskiej Australii. W reprezentacyjnej drużynie Południowej Australii znajduje się zawsze kilku graczy z adelaidejskiej „Polonii”. Znajdujemy ich i w składzie drużyny narodowej.

TABLICA W PORCIE MONTREALU UPAMIĘTNIAJĄCA POBYT „DARU POMORZA”

Kanadyjskie władze Portu Montrealu postanowiły wmurować w nabrzeże portu, w miejscu, w którym w czerwcu br. stanął szkolny statek marynarki polskiej „Dar Pomorza”, tablicę upamiętniającą to wydarzenie.

„Dar Pomorza” przebywając w Montrealu przez tydzień od dnia 15 czerwca, stał się jedną z atrakcji Międzynarodowej Wystawy Światowej „Expo 67”. Przez czas pobytu oblegany był przez tłumy zwiedzających wystawę, a przez pokład jego przewinęło się ponad 15.000 osób, w większości spośród społeczeństwa polonijnego. Ten piękny polski żaglowiec odwiedziła też załoga przybyłego do Montrealu amerykańskiego żaglowca „Eagle”.



DWA OBSZERNE NOWOCZESNE MAGAZYNY gwarantują Wam nie spotykany dotąd wybór wszystkiego, co dotyczy komfortowego WYPOSAŻENIA MIESZKANIA I GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

LATO! Pomyślcie o zakupie LODÓWKI.

NASZE ceny są bezkonkurencyjne, gwarancja na 5 lat. LODÓWKI mają ładny, estetyczny wygląd, znak wysokiej jakości. Zapewniamy, że z zakupu będziecie zadowoleni.

LODÓWKI:	120 litrów	143 litry	150 litrów	175 litrów	240 litrów
	495 F.	595 F.	620 F.	675 F.	810 F.

ETS. JACQUES DEVAUX — 2-bis, rue Pasteur (obok fosse 2-bis) MARLES-les-MINES — tel. 10

KĄCIK

HODOWCY GOŁĘBI

LIBERCOURT. W konkursie „sur Chantilly” stowarzyszenia Entente Libercourt-Oignies gołębie p. Moronia zajęły w kategorii „vieux” miejsca: 2, 5, 7, 13 i 21. W seriach gołębie p. Moronia były bezkonkurencyjne. W kategorii młodych, gołębie p. Leona Januszczyka z Libercourt zajęły 9 miejsce.

BILLY - en - OSTREVENT. Stowarzyszenie Les Jeux zorganizowało konkurs „sur Chantilly”. W kategorii młodych gołębie p. Nowaka z Guesnain zajęły trzecie miejsce, gołębie p. Wasińskiego z Montigny-en-Ostrevent zajęły miejsca 12 i 13, gołębie p. Maślaka z Montigny miejsca 14 i 16. W konkursie „sur Creil” tego stowarzyszenia w kategorii młodych gołąb p. Nowaka zajął pierwsze miejsce, gołąb p. Wieklińskiego z Douai — 16, a gołąb p. Juszczyka z Escaillon — 24.

NAGRODY I WYRÓŻNIENIA ZA PIĘKNE OGRÓDKI I DOMY PRZYBRANE KWIATAMI

PONT-à-VENDIN. W konkursie ogródków byłych pracowników firmy „Ernest Cambier”, p. Józef Lubasiński zajął trzecie miejsce.

HESDIGNEUL - LEZ - BETHUNE: Pan W. Talaska zdobył szóstą nagrodę za dom przybrany kwiatami i ogródek przed domem. Nagrodę wręczył mer miasta.

ST. VALLIER. Zarząd miejski zorganizował konkurs na domy przybrane kwiatami. Jury przyznało pierwszą nagrodę p. Jarzyńskiemu. Dziewiąte miejsce zajął p. Hanuszek, p. Frida i p. Biłski.

MAZINGARBE. Pierwszą nagrodę za ogródek z kwiatami zdobył p. Jan Pawlicki, trzecią nagrodę — p. Jan Schulz, a czwartą — p. Leon Zaremba.

BULLY-les-MINES. W konkursie lokalnym ogródków przed domami 6 nagrodę zdobył p. Jan Gmyrek, 7 — p. Alojzy Mikolajczak, a 10 — p. Liliana Adamczyk.

HENIN - LIETARD. Jury zgrupowania górniczego He-



Wielkie afisze zapowiadały polską wystawę w kasynie miejskim w Royan. Informowały one również o występach polskiego zespołu pieśni i tańca z Uniwersytetu im. Marii Skłodowskiej-Curie „LUBLIN”. Wystawa oraz widowisko prezentowane przez zespół miały powodzenie

WYSTAWA POLSKA W ROYAN

Ośrodek Informacyjny PBP „ORBIS” w Paryżu zorganizował w kasynie miejskim w Royan wystawę polskiego folkloru i turystyki. Wśród licznie zwiedzających wystawę nie zabrakło również i Polaków, przebywających tu, na wakacjach. Przybyli więc na

nią nie tylko Rodacy z Francji, ale również z Belgii i Anglii.

Na otwarcie wystawy przybył z Paryża konsul generalny PRL p. Janusz Mickiewicz i wicekonsul p. Marian Ejma-Multański. Mera Royan p. Lipkowski'ego reprezento-

wał prezes Syndicat d'Initiative dr Gachet. Obecni też byli zastępcy merów Royan i St. Georges, radni miejscy, dyrektor Office de Tourisme p. Dorbeau, dyrektor kasyna miejskiego p. Griffel oraz przewodniczący Francusko-Polskiego Komitetu Olimpijskiego p. markiz Kucharski. Przemówienia z okazji otwarcia wystawy wygłosili: dyrektor paryskiego „ORBISU” p. Piewcewicz i prezes Syndicat d'Initiative dr Gachet.

Wystawa polska zbiegła się w Royan z występem polskiego zespołu pieśni i tańca „Lublin”, który gorąco oklaskiwany był przez publiczność.

pej.

nin-Liétard przyznało następujące nagrody za najładniejsze ogródki: 1 nagrodę — p. Franciszek Grygier z Sallaumines, 4 — p. Franciszek Napierała z Harnes, 5 — p. Albert Adamski z Montigny-en-Gohelle, 7 — p. Stanisław Mielczarek z Harnes, 8 — p. Antonina Bujak z Mericourt, 11 — p. Tomasz Szymczyk z Montigny-en-Gohelle, 13 — p. Roch Kuraziński z Carvin, 30 — p. Stanisław Badzisz z Fouguières, 34 — p. Walenty Nowaczyk z Harnes. Dalsze miejsca zajęli: p. Stefan Zapłata z Montigny, p. Kasperczewski z Carvin, p. Henryk Głowański z Noyelles-sous-Lens, p. Helena Szymkowiak z Sallaumines, p. Etienne Madzgoń z Carvin, p. Szymon Kosseda z Noyelles, p. Jean Kwapiak z Carvin, p. Władysław Hałas z Billy-Montigny, p. Marcin Czarnecki z Carvin, p. Roman Krzyżaniak z Noyelles, p. Michał Jezierski z Montigny, p. Józef Kasperski z Sallaumines, p. Władysław Woźniak z Sallaumines, p. Andrzej Piękný z Billy-Montigny, p. A. Kwiat-

kowski z Montigny-en-Gohelle. Wśród grupy emerytów, którzy od niedawna biorą udział w konkursie, p. Jąłszyński z Carvin zajął piąte miejsce, a p. Stefan Buśniak — 25.



DYPLOMY ZAWODOWE

LENS. Dyplomy mistrzowskie w zakresie fryzjerstwa damskiego otrzymały: pp. Janina Kaczmarek, Nadine Nowak, Nadine Podolak, Genowefa Janowska; w zakresie fryzjerstwa męskiego dyplomy otrzymali: pp. Henryk Piechowiak, Henryk Czarnecki, Henryk Gronowski i Jacek Skrzypczak. Wyższe dy-

plomy mistrzowskie w zakresie fryzjerstwa, tzw. brevet superieur, otrzymali: pp. Albert Moszkowicz, Genowefa Wojnarowska, Reine-Marie Maślankowska oraz Katarzyna Warczak.

DOUAI. W centrum kształcenia zawodowego dyplomy zawodowe w zakresie stenografii i maszynopisania otrzymali: pp. Sabina Bąkowska, Jacqueline Błasiak, Olga Byczkowska, Annie Ciesielska, Jacqueline Gola, Janina Jankowska, Annie Józefiak, Paulette Kamińska, Regina Klimas, Ginette Kucharska, Christiane Lubińska, Christine Murkowska, Monika Miedziak, Joelle Sibińska, Eliane Talaga, Chantal Walcowski i Irena Wróbel.

LENS. Tzw. brevet comptable otrzymali: pp. Jacky Kowalski, Henryk Lewandowski, Raymond Nowak, Raymond Tronczyk i Ryszard Zawada.

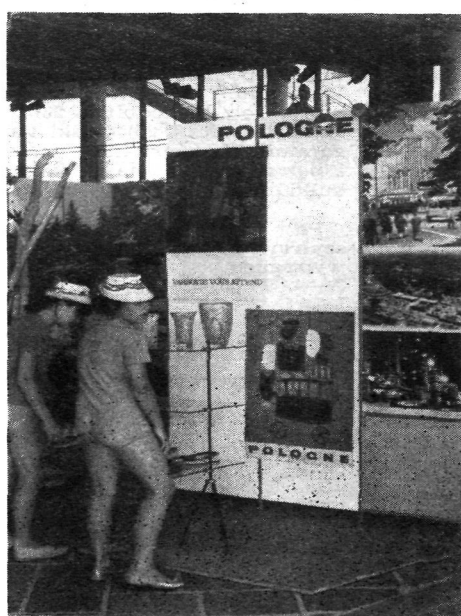
ZAWODY, KONKURSY, ZEBRANIA

PENAIN. Podczas miejscowych uroczystości odbyły się zawody strzeleckie. W zespole „Fanfary Miejskiej” drugie miejsce zajął p. Franciszek Sobczyk.

BETHUNE. Komitet uroczystościowy dzielnicy „8” zorganizował konkurs śpiewu dla dorosłych i młodzieży. W grupie młodzieży piątą nagrodę zdobył Jean-Claude Tarnowski, szóstą — Brigitte Tarnowska.

BILLY-MONTIGNY. Kibice piłki nożnej obradowali nad rocznym sprawozdaniem swego zarządu. Do nowego zarządu „Allez Billy” został wybrany m. in. p. Pachurka.

DROCOURT. Odbyło się walne zebranie przyjaciół miejscowego klubu piłki nożnej USDR. Zebraniu przewodniczył p. Józef Dziwocki, w obecności m. in. sekretarza USDR p. Ludwikowskiego. Wiceprezesa został p. Józef Dziwocki.



NASZA KRONIKA RODZINNA

Niech zdrowo rosną!

Rodziny naszych Rodaków powiększyły się. Ostatnio urodzili się:

PONT-A-VENDIN: Herald Windak. **BETHUNE:** Pascal Sobański, Eric Wawrzyniak, Waleria Kozierowska, Patrick Kędzia. **AUCHY-les-MINES:** Filip Czaicki. **HARNES:** Eric Urbaniak, Isabelle Kociszewska. **DOUAI:** Natalia Nawrot, Jean-Pierre Abramski, Christophe Nowak. **SIN-le-NOBLE:** Stefan Wojtusiak. **AUBERCHICOURT:** Jean-Pierre Adamczyk. **HENIN-LIÉTARD:** Sylvie Maślowska, Corinne Zabiegała, Karine Koemirska. **AUCHEL:** Waleria Grzelczyk, Sabina Tomaszewska, Natalia Szimik, Cathy Skorzek. **MEURCHIN:** Katarzyna Grzybowska. **ST. ETIENNE:** Fryderyk Nowaczyk (La Ricamarie). **MERICOURT:** Pascal Bartkowiak, Olivier Sadowski. **HERSIN-COUPIGNY:** Armand Golik.

Szczęśliwym Rodzicom życzymy dużo pociechy z najmłodszych.

Sto lat dla nowożeńców!

Ku radości Rodzin i Przyjaciół ostatnio zawarł małżeństwo:

HAINES-la-BASSÉE: Nicole Grześkowiak i Daniel Delabroye. **BULLY-les-MINES:** Maurice Gruson i Christian Michalak. **AUBERCHICOURT:** Jadwiga Chilarzewska i Francis

Dehaes. **AUBY:** Zofia Kaczmarska i Jean Jarczyk, Zofia Kobań i Jean-Claude Drelon. **SIN-le-NOBLE:** Edith Plaisant i Raymond Tykowski, Anne-Marie Kędzia i Jean-Claude Vandenheede, Francoise Żurek i Jean-Luc Thuillez. **AUCHEL:** Laure Braquart i Jean Błaszczyk. **BULLY-les-MINES:** Ginette Duthe i Raymond Pońspieszyński, Helena Kurek i Jan Antecki. **MONTCEAU-les-MINES:** Aline André i Bolesław Myszkowski, Christine Kędzia i Georges Filak, Annie Jacques i Józef Czaplak. **ST. VALLIER-GAUTHERETS:** Zofia Szymiślik i Edward Słomiany.

Nowożeńcom życzymy pomyślności i tradycyjnych stu lat!

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Z żalem donosimy, że ostatnio odeszli od nas:

MONTCEAU-les-MINES: Józef Kuziemski, lat 64. **AVESNES-le-COMTE:** Jan Kasperski. **MARLES-les-MINES:** Janina Wiśniewska z domu Kościerzyna, lat 77. **MERICOURT:** Jan Koper, lat 85, Zygmunt Michalak, lat 66, Józef Wilk, lat 75. **ST. ETIENNE:** Marianna Wdowik z domu Janiak, lat 52. **AVION:** Stefan Ochrymczyk.

Rodzicom Zmarłych składamy serdeczne wyrazy współczucia.

DOBRE ZASŁUŻONA EMERYTURA

FOUQUIERES - les - LENS. Zarząd kopalni wydał przyjęcie pożegnalne dla górników odchodzących na emeryturę. Podczas uroczystości przemówienie wygłosił główny inżynier kopalni p. Petit, który podkreślił m. in. zasługi p. Bolesława Krzemienia z Mericourt, odchodzącego na emeryturę po 42 latach pracujących w kopalni, oraz p. Franciszka Jastrzębskiego również z Mericourt, który pracował w kopalni 35 lat. Uroczystość zakończyła się życzeniem emerytowi dalszych długich lat życia oraz tradycyjną lampką wina.

Rozrywki umysłowe

KRZYŻÓWKA z PRZYSŁOWIEM

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15
A	1		2		3		4		5		6		7		8
B															
C	9								10						
D					11										
E	12								13			14			
F															15
G			16	17			18				19				
H															
I	20						21				22		23		
K															
L		24	25		26				27		28				
M	29						30								
N	31										32				
O															
P	33						34								

POZIOMO: 1) spirytus skażony, 6) postój w podróży połączony z posiłkiem, 9) eksport, 10) drewniany ćwieczek szewski, 11) kieruje samolotem, 12) mały pojazd na płozach, 13) niedorzeczność, 16) ważne szlaki komunikacyjne, 19) inaczej pijak, 20) baba-jaga, wiedźma, 21) jakość, rodzaj, 24) tłuszcz z sadła lub słoniny, 28) służy do wycierania obówka, 30) prawosławny święty obraz, 31) desperacja, żal nieutulony, 32) okrutny despot, 33) żebraczy worek, 34) ruchliwy działacz społeczny lub polityczny.

PIONOWO: 1) spustoszenie, zniszczenie, 2) nowa, często plotkarska wiadomość, 3) lekkoduch, figlarz, sowizdrzał, 4) lasy górskie, 5) akt ostatecznej woli, 6) publiczny pokaz swoich umiejętności, 7) ogląda towarzyska, 8) imię głównego bohatera powieści „W pustyni i w puszczy” H. Sienkiewicza, 14) miejskie drogi, 15) sklep z książkami, 17) marzędzie chłosty, 18) bydlę rogate, 22) klisza fotograficzna, z której robi się odbitki, 23) zimny lub gorący okład leczniczy, 25) polski taniec ludowy z figurami, 26) tropikalna, pnąca się roślina, 27) zapotrzebowanie na towary, 29) myśliwskie kulki ołowiane.

Po rozwiązaniu krzyżówki prosimy rozszyfrować przysłowie, które utworzą litery wypisane w następującej kolejności: I-1, A-4, P-8, A-11, I-8, I-11, E-10, H-4, L-11, A-1, B-3, L-9, I-10, D-15, H-1, D-3, F-1, D-8, E-5, C-5, L-14, G-8, G-13, G-3, P-11, P-10, G-11, G-14, M-1, L-7, D-11.

Rozwiązania prosimy nadsyłać pod adresem redakcji w ciągu 2 tygodni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłają bezbłędne rozwiązania, zostaną rozlosowane **NAGRODY KSIĄŻKOWE**.

ROZWIĄZANIE LOGOGRYFU Z NR 32/33

ZNACZENIE WYRAZÓW: 1) czczość, 2) chwilka, 3) chlebak, 4) ciemnia, 5) choinka 6) chwalcia, 7) Chrobry, 8) cymbały, 9) celibat, 10) cizemka, 11) chochla, 12) chwasty, 13) chandra, 14) cyganka. Hasło zadania: **ZIEMIA OBIECANA.**

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI z PRZYSŁOWIEM z NR 32/33

ZJESZ BECZKĘ SOLI, NIM POZNASZ KOGOS DO WOLI.

POZIOMO: 1) przesady, 5) golas, 9) mówca, 10) łaknienie, 11) odtamki, 12) uczynek, 14) lyko, 16) kronikarz, 20) poręczki, 21) sago, 23) przewód, 24) wzięcie, 26) kociołk, 28) deska, 29) złość, 30) działacz.

PIONOWO: 1) pomiotło, 2) zawał, 3) spazmy, 4) dołki, 5) gniazdko, 6) len, 7) szejk, 8) okrutnik, 13) norma, 15) kłosz, 17) recydywa, 18) rzewność, 19) pożeracz, 22) biedka, 23) pokaz, 24) wykaz, 25) cisza, 27) cło.

ROZWIĄZANIE SZYFROGRAMU z NR 32/33

Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał hydrze,
Ten miody zdusi centaury,
Piektu ofiarę wydrze,
Do nieba pójdzie po laury.

(Adam Mickiewicz — ODA DO MŁODOŚCI)

KLUCZ POMOCNICZY: duto, łój, pędzel, ryzyko, wesele, wybryki, runo, numerowy, mienie, defekt, druh, czoło, piki, bieda, cud, ład, rzep, taca.

niveau a été médiocre, en haut-
vol le Polonais Kowalewski s'est
classé 4-e. Les autres Polonais
ont nettement déçu.

STALOWA WOLA — A peine
consacrée championne du monde
à Ammersfort, Maria Mączynska
a battu onze records de Pologne
au tir à l'arc, cinq d'entre eux
étant supérieurs aux records du
monde actuels.

ZABRZE — Après deux journées
en I-e division de football, Gór-
nik-Zabrze, champion national
de la saison écoulée, et Zagłębie-
Sosnowiec, vice-champion, n'ont
réussi qu'à sauver un point cha-
cun. Seul Polonia-Bytom — un
autre club du pays minier — a
deux victoires à son actif. Mais
les champions 1967 sont pour
l'instant relégués à la 10-e place.

LE SPORT EN POLOGNE

CHORZÓW — La IV Spartakiade
athlétique a eu pour cadre le
Stade Silésien dont les tribunes
(cent mille places) étaient plutôt
dégarnies. Pourtant, il y a eu
quelques beaux moments et une
série de bonnes performances:
Maniak 10,5 au 100 m par vent
contraire et Kirszenstein 11,4 au
100 m féminin, Werner 21,0 au
200 m et Salacińska 24,2, Badeń-
ski 46,7 au 400 m, Kołodziejczyk
14,1 au 110 m haies, Gubiec 51,2
au 400 m haies, Szordykowski
1.49,5 au 800 m, Nikiciuk 82,82 au
Javelot devant Głogowski 79,88 —
Sidlo n'étant que 3-e (77,76), Ja-
worska 56,38 au javelot féminin,
Stalmach 7,77 en longueur,
Szmít 16,84 au triple-saut (2-e

résultat mondial de la saison).
Notons également 3 concurrents
au dessus de 7000 points au dé-
cathlon: Grzegorzewski 7275, Det-
ko 7161 et Kaczmarek 7086.

KEMPTEN — Quatre Polonais sur
sept se sont qualifiés pour la
finale européenne de speed-way
qui aura lieu à Wrocław. Devant
10 000 spectateurs, Wyglenda et
Trzeszkowski ont enlevé les 2
premières places de la finale
continentale avec 14 points cha-
cun, devançant Plekhanov (URSS)
12 pts et deux autres Polonais
Pogorzelski (11) et Woryna (10).

HELSINKI — Dans la Coupe
d'Europe de plongeon dont le

TV

od 3 do 9
września

PROGRAM I (première chaîne)

DZIENNIK — Télé-Midi o 13.00, Télé-Soir o 20.00 i Télé-Nuit
między 22.45 a 23.55.
WIADOMOŚCI REGIONALNE — o 19.40 oprócz niedzieli.
VIVE LA VIE! — film seryjny o 19.25 oprócz niedzieli i soboty.
POLICE DU PORT — film seryjny o 12.30 oprócz niedzieli.
JEU DE MOTS — o 19.05 oprócz soboty i niedzieli.
RADIO-TÉLÉ-BAC — od poniedziałku do czwartku o 14.00.

NIEDZIELA 3 WRZEŚNIA.

12.00 **Le séquence du spectateur** — fragmenty filmów: *Le Cardinal*
Premingera. *La Bataille de France*, real. Cécil Saint-Laurent i
Jean Amel. *Angélique Marquise des Anges*, real. B. Borderie (Mi-
chèle Mercier, Robert Hossein).
12.30 **Impossible n'est pas français** — na przemian z kolejnymi pozy-
cjami programu do godz. 19.00.
13.15 **Art-Actualité**.
13.30 **Kolarskie mistrzostwa świata z Amsterdamu** (oraz o 15.20 i 16.00).
14.30 **Encyclopédie de la mer**.
17.15 **L'Oeuf et moi** — film Erskine'a (Claudette Colbert i Fred Mac
Murray).
19.30 **Saturnin Belloir** — dziś: *Pour les yeux d'une blonde*.
20.35 **Les 3 du dimanche: Le Roi du tabac** (Gary Cooper, Patricia Neal).
22.05 **Jazz**.

PONIEDZIAŁEK 4 WRZEŚNIA.

18.30 **Dites-moi monsieur**.
20.35 **Tilt** — program rozrywkowy Michèle Arnaud, real. Pierre Spiero.
21.35 **Les Incorruptibles**.
22.25 **Le dernier matin** — Albert Camus.

WTOREK 5 WRZEŚNIA.

18.30 **La séquence du jeune spectateur**.
20.40 **Le quart d'heure d'Emmanuel d'Astier**.
20.55 **Program dramatyczny**.

SRODA 6 WRZEŚNIA.

18.30 **Dites-moi monsieur**.
20.35 **L'aventure** — dziś: *La préhistoire*.
21.05 **Jeux sans frontière**.
22.20 **Lectures pour tous**.

CZWARTEK 7 WRZEŚNIA.

17.00 **Wioślarskie Mistrzostwa Europy (z Vichy)**.
18.00 **Program dla młodzieży** — Jeudimage.
18.55 **Jeunesse active**.
20.35 **Au théâtre ce soir** — dziś: *Lorsque l'enfant paraît* André Roussin,
w reżyserii autora.

PIĄTEK 8 WRZEŚNIA.

17.30 **Wioślarskie Mistrzostwa Europy (z Vichy)**.
18.30 **Dites-moi monsieur**.
20.20 **Panorama** — tygodniowy magazyn aktualności.
21.30 **Michel du vendredi** — dziś: *Si tu m'aimes* — film A. Rydera
(Michel Simon, Arletty, Jean-Louis Barrault).

SOBOTA 9 WRZEŚNIA.

15.00 **Zawody pływackie (z Dortmundu), Mistrzostwa Wioślarskie (z
Vichy), Igrzyska Śródziemnomorskie (z Tunisu)**.
18.15 **Magazyn kobiecej**.
19.25 **Accords d'accordéon**.
20.35 **Impossible n'est pas français**.
20.50 **L'île au trésor**.
21.20 **Variétés**.
22.10 **Les descendants** — dziś: *Gandhi i Nehru*.

PROGRAM II (deuxième chaîne)

24 HEURES ACTUALITES — o 19.55 i między 22.00 a 22.20
oprócz niedzieli.

HISTOIRES D'ANIMAUX — film seryjny (Jean Richard)
o 20.05.

NIEDZIELA 3 WRZEŚNIA.

14.30 **Sa dernière course** — film R. Walsha (Allain Ladd, Gali Russel).
20.30 **Variétés: Gala Mireille** (finale du Petit Conservatoire), **Feux de
joie** (Les Parisiennes, Tereza, Marcel Amont).
22.05 **Des agents très spéciaux**.

PONIEDZIAŁEK 4 WRZEŚNIA.

20.30 **SOIRÉE CINÉMA** — Autour du film: *Rembrandt*, real. H. Stein-
hoff.

WTOREK 5 WRZEŚNIA.

20.30 **CAMÉRA 3**.
22.10 **L'homme au crâne rasé** — film A. Delvaux (Senne Rouffaer,
Beata Tyszkiewicz, Hector Camelyncq).

SRODA 6 WRZEŚNIA.

20.30 **Les dossiers en vacances** — film: *Le chasseur de chez Maxim's*
— real. H. Diamond-Berger.
22.15 **A propos du film**.

CZWARTEK 7 WRZEŚNIA.

20.30 **On n'enterre pas le dimanche** — film M. Darcha.
22.10 **A vous de juger**, program doświadczalny.

PIĄTEK 8 WRZEŚNIA.

20.30 **Verdict N° 9**: *Un ami pour mourir* — program A. Jammota,
real. Pierre Cardinal.

SOBOTA 9 WRZEŚNIA.

20.30 **Le sourire de la Joconde** — program dramatyczny wg sztuki
Huxleya, real. Albert Riera.
22.15 **Gant de velours** — dziś: *Roméo ou Barbe-Bleue*.
22.55 **Conseils utiles ou inutiles**.

30 degrés à l'ombre — 30 stopni w cieniu



— Mamy wspaniałą pogodę, ani kropelki deszczu...
— Le temps est splendide, pas une goutte de pluie...



— Patrz w górę, nie będzie ci
wtedy tak gorąco!
— Regarde en l'air, tu auras bien
moins chaud!



— Co to mnie obchodzi? Może
że znosi upały?
— Que voulez-vous, il supporte
peut-être mal la chaleur...

TYGODNIK POLSKI

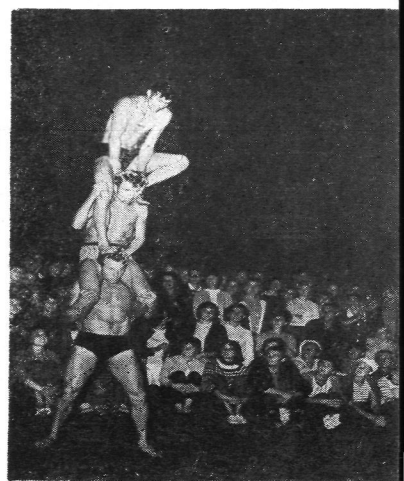
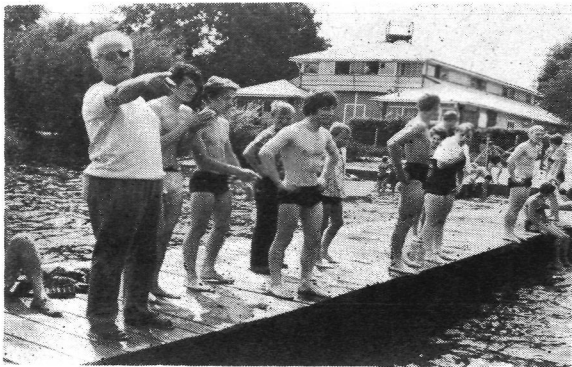
La Semaine Polonaise
23, rue Taitbout, Paris IX
Tel.: TAI 76-44, TAI 76-51
C.C.P. 92.20 - 76 Paris
C.C.P. 66.69.45 Belgique

Cena prenumeraty:

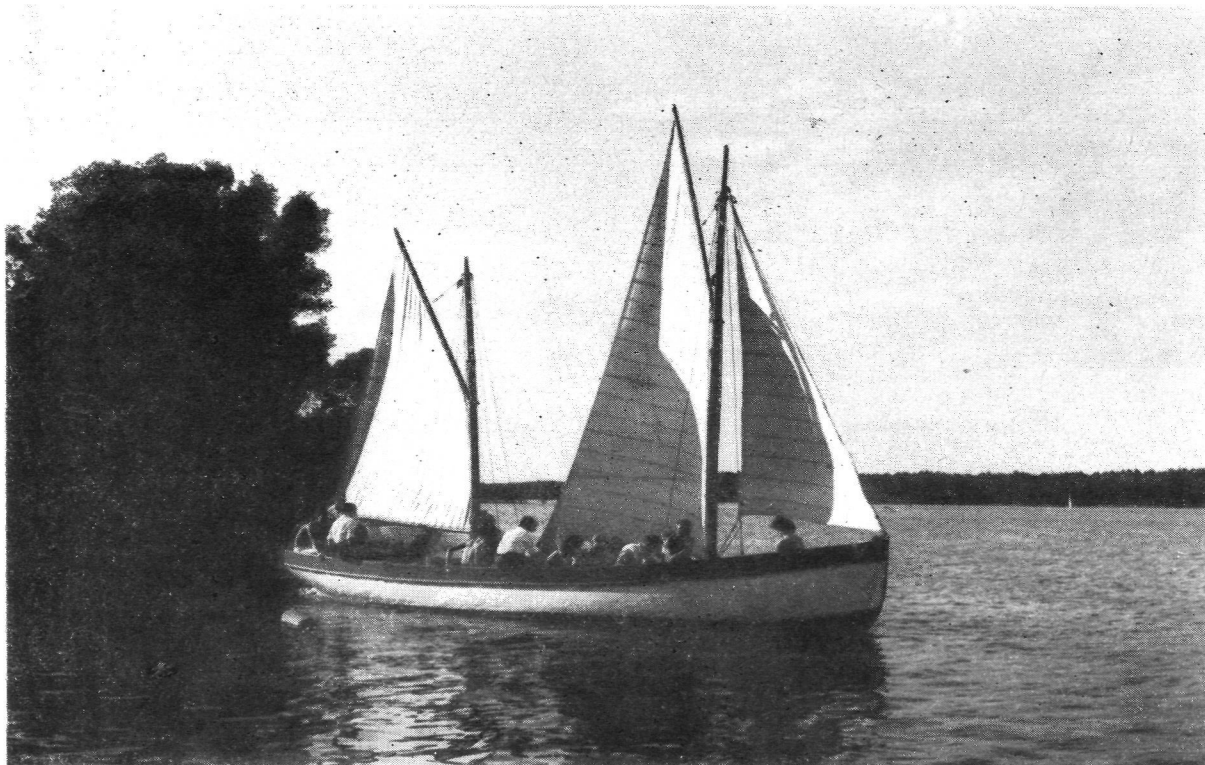
rocznie: 17 F. - 210 Fr B.
półrocznie: 10 F. - 120 Fr B.
kwartalnie: 6 F. - 70 Fr B.

Président Directeur
Général: Danuta
JAGOSZEWSKI Bienaimé

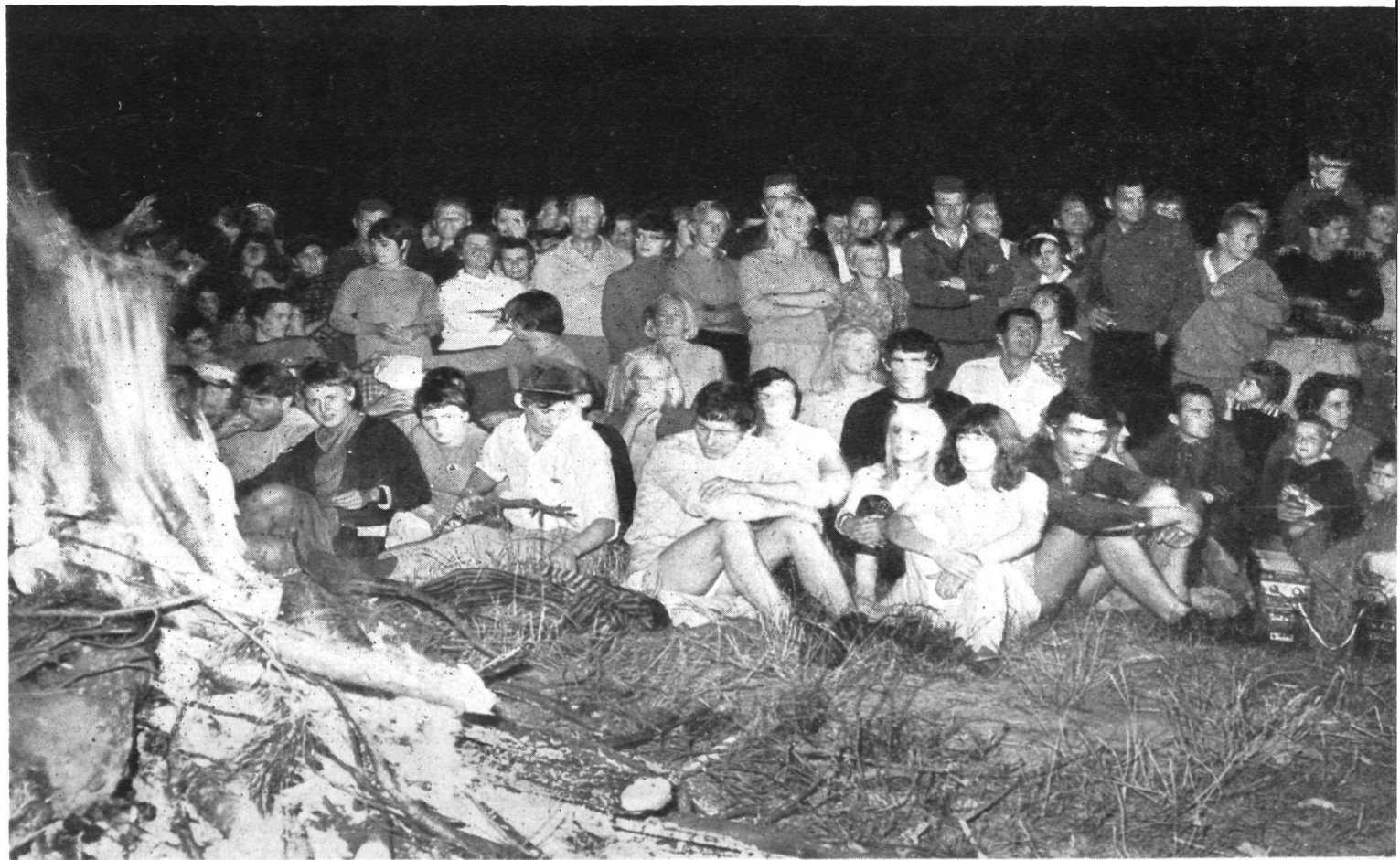
IMPRIMERIE
Zakład Graficzny „Ruch”
Varsovie, ul. Ludna 4



SPORTOWCY POLONIJNI Z CAŁEJ EUROPY W OLECKU I AUGUSTOWIE

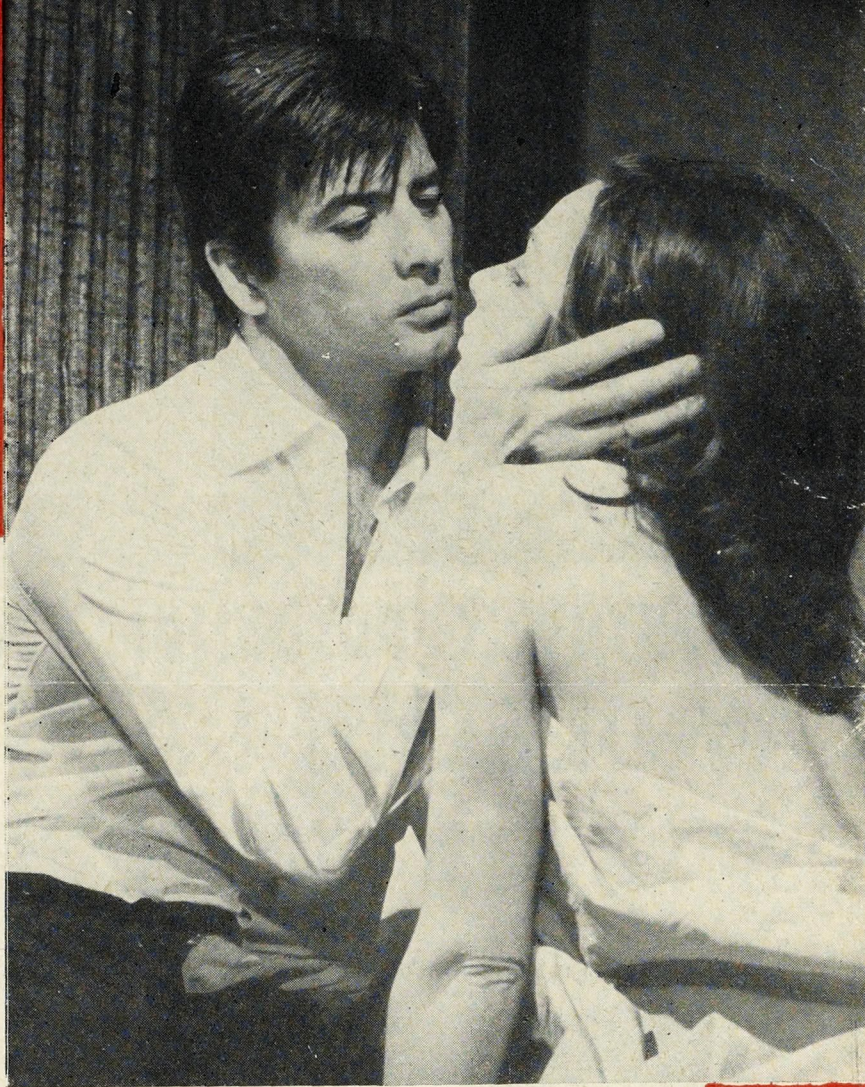


Ten miesiąc spędzony w Polsce był miesiącem wypoczynku, ale wypoczynku czynnego, sportowego, nad którym czuwał zasłużony pedagog pan mgr Ochendal (zdjęcie u góry z lewej), prowadzący już dziewiąty obóz sportowy młodzieży polonijnej. Po przyjeździe do Olecka przeprowadzono pierwszy sprawdzian sportowy (u góry w środku), a na zakończenie obozu, ponowne zawody kontrolne. Nie było wypadku, aby ktoś nie poprawił wyników, za to wielu uczestników pobilo rekordy życiowe. Obok umiowań sportowych, wielu uczestników wyraźnie interesowało się gimnastyką akrobatyczną (na zdjęciu u góry po prawej). Jan Zawiega (najwyżej), Zenon Turbański (w środku) — obaj „Sokół” z Carvin oraz Christian Teoursel jako podstawa piramidy w efektownym pokazie przy ognisku. Mimo bardzo napiętych programów sportowych i rozrywkowych codziennie można było jednak znaleźć chwile wolnego czasu. Wówczas najważniejszą rzeczą było „złapać” wiatr w żagle (z lewej) i wtedy niech jeden czuwa nad sterem, reszta zaś poddaje się pieśczęcie promieni słonecznych. Do najpilniej trenujących na obozie należał bardzo dobrze zapowiadający się skoczek w dal — Maciejewski z „Sokoła” w Carvin (na zdjęciu poniżej z lewej), który będąc już trzeci raz na obozie w Polsce, za każdym razem wykazuje wybitną zwyżkę formy. W czasie licznych ognisk i spotkań z młodzieżą studencką zamieszkującą w Kraju (poniżej z lewej) dochodziło do przeżabawnych uroczystości. Właśnie jesteśmy świadkami jak król otchłani wodnych Neptun w towarzystwie nimf przyjmuje specjalnym edyktem gości z Francji, Belgii i NRF oraz innych uczestników obozu w Olecku w skład swego podmorskiego państwa. Na wielkim ognisku w Augustowie (poniżej) zebrała się młodzież polonijna reprezentująca kilkanaście krajów Europy. Piosenki śpiewane w paru językach tworzyły przeżabawny groch z kapustą. Na pewno te spotkania stały się jednym z najpoważniejszych akcentów przyjaźni łączącej młodzież emigracyjną z młodzieżą krajową (fotografie nasze uzupełniają reportaż z obozu w Olecku zamieszczony na stronie 14).



NOWE

FILMY NA EKSPANACH



W swoim pierwszym filmie znany dziennikarz, powieściopisarz i realizator telewizyjny Roger Boussinot opowiada nam historię przygody miłosnej dwojga ludzi, która wbrew swej pozornej blahości wpływa na całe życie obojga. Mimo pewnego rodzaju wodewilowo-groteskowej sytuacji, treścią zasadniczą tej historii jest bardzo ciekawy i współczesny dramat psychologiczny bohaterów, których świadomość kontaktu ze światem zewnętrznym i podłoża wielu kontaktów z ludźmi dojrzewa w ciągu kilku godzin.

ROGER BOUSSINOT a réalisé son premier film d'auteur. *LE TREIZIEME CAPRICE* — nous dit-il — était tout d'abord un scénario qui n'intéressait personne. J'en ai fait un roman, et immédiatement les droits cinématographiques en ont été vendus. Il ne me restait plus qu'à écrire une version cinématographique de mon scénario devenu roman, et à le mettre en scène, puisque, après avoir pensé le confier à un autre, le producteur a finalement jugé que je pouvais faire ce travail moi-même.

Parce qu'il s'est rendu à la soirée donnée par un ami, parce qu'il faisait très froid, parce qu'il accepte un thé d'une invitée partie comme lui très tôt, François va connaître une aventure qui changera son existence: entre deux et cinq heures du matin, cette nuit de la Saint-Sylvestre, il se trouve assiégé, dans l'appartement montmartrois d'une jeune et très jolie femme, et en sa compagnie, par l'amant en titre. La situation, flatteuse pour sa vanité masculine, et les heures merveilleuses qu'il va connaître, vont exaspérer en lui un sentiment d'humiliation venu de très loin, dont il lui faudra se libérer par une certaine violence.

Dans cette situation qui semble vaudevillesque, mais qui devient dramatique, évoluent des personnages, dont il faut savoir qui ils sont, mais également des idées, dont l'une frappe: les rapports des personnages sont centrés en fonction des humiliations qu'ils s'infligent ou qu'ils subissent. Roger Boussinot s'en explique:



LE TREIZIEME CAPRICE - TRZYNASTY KAPRYS

— Je crois que la situation de François et Fanny peut être assez fréquente. Il me semble que dans la vie quotidienne, les rapports humains, la plupart du temps, ne sont basés ni sur l'estime, ni sur la confiance; à moins de posséder une nature exceptionnellement généreuse ou naïve. Lors d'une première rencontre, la majorité des gens est plutôt méfiante; les rapports humains, en général donc, sont des rapports d'humiliation, chacun cherchant plus au moins à humilier même celui qu'il ne connaît absolument pas.

Dans le cas précis du *TREIZIEME CAPRICE*, j'analyse la mutation psychologique d'un personnage qui, placé dans une situation privilégiée — puisqu'il est l'amant — en conçoit paradoxalement une certaine humiliation. Il n'y est pour rien. Personne n'y est pour quelque chose, mais c'est ainsi et s'il y a quelqu'un qui n'y est pour rien, c'est bien Fanny qui, pourtant l'a mis dans cette situation, non?

Mais c'est pour cela même qu'à un moment donné, elle va s'en excuser, mais trop tard et cela ne peut plus provoquer entre eux qu'une explosion de rire. Dans sa situation privilégiée d'amant, François conçoit cette humiliation parce que, tout à coup, il a le sentiment vif que ce bonheur de posséder une fille belle, visiblement intelligente, mystérieuse, dans les bras, il le doit à l'humiliation d'un autre. Et il en est autant humilié lui-même que cet autre; il prend l'aventure sur ses épaules. C'est à partir de ce moment qu'il prend conscience que les rapports humains sont généralement des rapports d'humiliation.

— Et vos personnages?

— L'un représente l'élément psychologique, l'autre l'élément social. Leur affrontement va tout désintégrer, comme deux atomes en se rencontrant désintègrent la matière. L'élément social et l'élément psychologique vont désintégrer la société, désintégrer leurs existences tout en s'enrichissant eux-mêmes d'une expérience fondamentale, puisqu'est fondamentale toute expérience qui remet en cause les conditions de vie.

— Les interprètes?

— Quand j'écrivais le scénario, j'imaginai Marie Laforêt. Aujourd'hui, devant la caméra, je reconnais mon personnage. Marie Laforêt joue exactement la jeune fille d'aujourd'hui avec ses provocations, ses inconsciences et ses prises de conscience.

Ayant rencontré, en cours de reportage, Pierre Brice qui tournait un *Winnetou*, Roger Boussinot pensa qu'il était le seul à pouvoir incarner le personnage de François: En brisant le conformisme qui pouvait s'y trouver

dans un cinéma conventionnel: non seulement parce qu'il est beau, très beau, mais parce que son aspect physique crée au départ un malentendu. L'homme Brice m'a impressionné. Derrière l'énorme vedette en Allemagne, deux fois couronné du Bambi de la meilleure interprétation en Italie, j'ai découvert un excellent comédien, sensible et juste, comprenant parfaitement bien intention ou texte, un très grand acteur dont on s'étonne qu'il soit inconnu en France.

P.S. Pierre Brice est également une très grande vedette en Pologne.

Aux lecteurs de la
"Semaine Polonaise"
un salut très très amical
de votre ami
pienetrice

